ŻYCIE

ROK XII Nr. 9 (558) LONDYN, WRZESIEŃ 1958 R. CENA 3/-

RUDSKY



...Największe nasze zwycięstwa wyrosły... z Maryjnej służby Narodu. Z tego pnia wyrosła Jasna Góra, która dźwiga naród z głębin fal potopu szwedzkiego. Z tych zmagań ducha polskiego poszły w niebo śluby Jana Kazimierza. Z tych uniesień rycerstwa Maryjnego wzbija się pod niebo potężny Wiedeń... Z tego ducha tryska moc obrończa czasów niewoli, nadludzka nadzieja Narodu... Z tego krzewu wiecznie gorejącego tchnie ogień wierności Chrystusowemu Kościołowi, nasza pobożność — może uczuciowa, może nastrojowa, ale zawsze gorąca, która trzyma nas pod Krzyżem wieków aż dotąd...

Z rozważań Kardynała Stefana Wyszyńskiego p. t.: „WYPEŁNIAMY JASNOGÓRSKIE ŚLUBY NARODU"

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XII NR 9 (558)

Wrzesień 1958 r.

SPIS TREŚCI:

PRAWDA O NAJŚCIU NA JASNĄ GÓRĘ

Bolesna dla narodu polskiego sprawa najścia na Jasną Górę porusza dalej umysły i jest szeroko komentowana w prasie, co pociąga za sobą tyle przeinaczeń i nieścisłości, że ludzie często przestają się orientować co jest prawdą, a co należy zaliczyć do dziennikarskich przejaskrawień, tym bardziej, że pisma w Polsce prześcigają się w fałszywych i wykrętnych oświetleniach. W tej sytuacji prawdziwie cennym i bezstronnym źródłem poznania prawdy o najściu w Częstochowie jest wydane przez Sekretariat Prymasa Polski, oparte na ścisłych faktach, oświadczenie. W przekonaniu, że warto je dokładnie przestudiować i tylko na podstawie wskazanych w nim faktów rozpatrywać sprawę, podajemy tu w całości tekst Oświadczenia:

„Instytut Prymasowski Ślubów Narodu na Jasnej Górze został erygowany przez J. Em. Ks. Kardynała Prymasa Polski w dniu 3 maja 1957 roku na mocy przepisu kan. 1489 Kodeksu Prawa Kanonicznego. Stanowi on pomoc duszpasterską Episkopatu Polski i rzesz pielgrzymów na Jasnej Górze w wykonaniu Ślubów Jasnogórskich, których celem jest przygotowanie religijno-moralne Narodu na Tysiąclecie Chrześcijaństwa Polski. Środkiem działania Instytutu są wydawnictwa książkowe, broszurowe i ulotkowe. Działalność Instytutu jest całkowicie jawna. O jego erekcji J. Em. Ks. Kardynał powiadomił Pełnomocnika Rządu do Spraw Stosunków Państwa i Kościoła pismem z dnia 4 maja 1957 roku.

Instytut Prymasowski wydał drukiem jedną książkę, tekst Ślubów Jasnogórskich, kilka ulotek i plakatów o treści religijnej za zgodą Głównego Urzędu Kontroli Prasy.

Wobec zdecydowanej odmowy ze strony tego urzędu w grudniu 1957 roku dalszego cenzurowania publikacji Instytutu do czasu uzyskania koncesji wydawniczej z Departamentu Wydawniczego Ministerstwa Kultury i Sztuki i po długotrwałych bezskutecznych rozmowach z resortowym ministrem, Instytut zrezygnował na razie z wydawnictw drukowanych i ograniczył się do p o w i e l a n i a, przy czym oparł się na rozporządzeniu Prezesa Rady Ministrów z dnia 22 kwietnia 1952 r. (Dz. Ust. nr 19, poz. 124), gdzie w art. 4 punkt 1 powiedziane jest, że publikacje odbite systemem powielaczowym przez jednostki gospodarki uspołecznionej są **zwolnione** z obowiązku kontroli prasy. Dekret zaś z dnia 21 września 1950 (Dz. Ust. nr 44, poz. 399) za jednostkę gospodarki uspołecznionej uznaje w art. 1 punkt 4 „instytucje publiczno-prawne oraz organizacje polityczne, s p o ł e c z n e, bądź zawodowe..." Nikt nie ma wątpliwości, że Kościół jest organizacją społeczną. Samo Porozumienie i ustalenie Komisji Wspólnej Episkopatu i Rządu z dnia 6 grudnia 1956 r. jest dowodem tego, że art. 4 wyżej wymienionego rozporządzenia odnosi się również i do Kościoła Rzymsko-Katolickiego w Polsce.

Toteż niezrozumiała jest dla Władz kościelnych akcja prokuratorska w dniach 13 maja i 21 lipca 1958 roku na terenie klasztoru na Jasnej Górze w Instytucie Prymasowskim, w której dopuszczono się — jakoby w obronie przepisów o charakterze administracyjnym — naruszenia szeregu artykułów Kodeksu Postępowania Karnego i Kodeksu Karnego.

Władze Kościelne wniosły do Władz Państwowych w związku z tym protest i oczekują naprawienia wyrządzonych Kościołowi szkód i zwrotu zabranej własności Instytutu.

Warszawa, dnia 30 lipca 1958 roku."

Mamy więc po jednej stronie rzeczowe i spokojne przedstawienie sprawy przez Prymasa, a z drugiej: histeryczne i sztucznie rozdmuchane oburzenie skierowane przeciw Kościołowi w prasie popularnej, a na poziomie „intelektualnym" namiętnie fanatyczne wywody „apostołów rozumnego ateizmu" i krzewicieli „moralności socjalistycznej". Wobec zarzutów, że Kościół w Polsce dąży do uchwycenia władzy politycznej, warto przypomnieć, iż kardynał Wyszyński, gdy wstępował na stolicę prymasowską, oświadczył wyraźnie, że nie jest politykiem ani dyplomatą, ale że jest po prostu... pasterzem dusz.

NOWI BISKUPI POLSCY

W sierpniu ogłoszona została nominacja ks. dr. Karola Wojtyły na stanowisko biskupa-sufragana krakowskiego, wakujące od lutego, tj. od śmierci śp. ks. biskupa Rosponda.

Nowy sufragan krakowski jest młodym jeszcze człowiekiem, ma lat zaledwie 38, urodził się 5 maja 1920 r., w Wadowicach, gdzie też ukończył szkołę średnią. Rozpoczęte na Uniwersytecie Jagiellońskim studia polonistyczne przerwała wojna; Karol Wojtyła był jeszcze wówczas — zdawało się — daleki od powołania kapłańskiego: pracował jako robotnik w zakładach chemicznych Solvaya, w Borku Fałęckim w Krakowie, związał się też w tym okresie z konspiracyjnym Teatrem Rapsodycznym, w którym występował jako aktor. Jednakże już w roku 1943 — pracując nadal w Solvayu — zaczął studiować teologię w tajnym nauczaniu, a po wojnie wstąpił do seminarium duchownego w Krakowie i otrzymał w r. 1946 święcenia kapłańskie; po czym udał się do Rzymu na dalsze studia. W czasie pobytu we Francji i Belgii prowadził pracę duszpasterską wśród polskich robotników, interesując się żywo ruchem katolickiej młodzieży robotniczej JOC (Jeunesse Ouvrière Chrètienne).

Wrócił do Polski w 1948 r. i objął stanowisko wikariusza w parafii Niegowić, pow. bocheński, zaś w latach 1949-1951 był wikariuszem parafii św. Floriana w Krakowie, kontynuując równocześnie studia na krakowskim Wydziale Teologicznym; zrobił doktorat i nobilitował się na KUL-u. W roku 1953 objął wykłady etyki społecznej jako profesor Krakowskiego Seminarium Duchownego, zaś od 1954 r. prowadził także wykłady teologii moralnej na wydziale teologicznym KUL-u, interesując się przy tym stale sprawami młodzieży i wypowiadając się często na łamach „Tygodnika Powszechnego" (cykl: „Elementarz etyczny") a także i „Znaku".

Sakrę biskupią otrzyma nowy biskup prawdopodobnie jeszcze w tym miesiącu.

Z komunikatu Sekretariatu Prymasa Polski, wydrukowanego w ostatnim numerze „Tygodnika Powszechnego" (nr 35 (501*) dowiadujemy się o mianowaniu ostatnio przez Ojca Świętego trzech jeszcze nowych polskich biskupów: Drugim biskupem-sufraganem w Krakowie został ks. dr Michał Blecharczyk, dziekan i proboszcz w Bochni, nominację na biskupa w Gorzowie otrzymał ks. dr Wilhelm Pluta z Katowic; ks. dr Józef Drzazga, wicedyrektor Wyższego Seminarium Duchownego w Lublinie został — z uwagi na potrzeby diecezji warmińskiej — biskupem-sufraganem w Olsztynie. Bliższych danych biograficznych o ostatnich nominatach na razie jeszcze nie posiadamy.

ROBERT SPEAIGHT

HILARY BELLOC A POLSKA

Bardziej niż jakikolwiek inny pisarz współczesny Hilary Belloc przyczynił się do przywrócenia literaturze angielskiej łączności z Europą. Wzrastał w okresie rozkwitu brytyjskiego izolacjonizmu, gdy Anglia, jako centrum rozległego imperium, mogła sobie pozwolić na przyglądanie się historycznym sporom Europy z wyniosłą obojętnością, bacząc tylko na własną korzyść. Obojętność tę utwierdzała zapora morska otaczająca jej brzegi — niezwyciężona flota, która ich strzegła — a wreszcie duchowa rozłąka z tradycjami katolickiego chrześcijaństwa.

Belloc był katolikiem z urodzenia i został wychowany jako katolik. Będąc obywatelem francuskim służył w artylerii w Tulonie; ta służba w armii francuskiej nauczyła go patrzeć realnie na pruskie ambicje. W miarę jak dojrzewał, jego wiara pogłębiała się i stawała się coraz bardziej bojowa, a nastawienie to wzmogło się jeszcze przez wpływ jego żony irlandzko-amerykańskiego pochodzenia. Chociaż niewiele wiedział o Irlandii i nie jeździł tam często, szybko pojął religijny charakter irlandzkiego nacjonalizmu i piętnował, w parlamencie i w prasie, szaleństwo tych, którzy temu nacjonalizmowi odmawiali możności rozsądnego wypowiedzenia się.

Dożył rozwiązania sprawy irlandzkiej, osiągniętego niestety kosztem rozlewu krwi. Ten sam instynkt, który mu ukazywał religijne korzenie politycznych sporów, skłonił go do gorącego współczucia z Polską. Nigdy nie zapomniał uwagi, wypowiedzianej przez kardynała Manninga, którego często odwiedzał, jeszcze jako młody człowiek: „Każdy ludzki konflikt — powiedział mu Manning — jest w ostateczności teologiczny". Toteż gdy wydawało się, że okoliczności dojrzały do wznowienia walki o prawa narodu polskiego, Belloc stał się tych praw najwymowniejszym poplecznikiem.

W czasie pierwszej wojny światowej został wysłany do Watykanu z misją uleczenia władz rzymskich z ich rzekomych proniemieckich sympatii. Wielkie wrażenie na nim wywarła osobista świętość Benedykta XV, wobec którego usilnie nalegał na konieczność odbudowania Polski jako silnego, samowystarczalnego organizmu politycznego w Europie. Zależało to oczywiście od zwycięstwa sprzymierzonych, a Papież żywił co do tego jeszcze wątpliwości. „Czy pan myśli, że oni zwyciężą?" — pytał Benedykt XV, a Belloc nie szczędził argumentów na rzecz swojej wiary w zwycięstwo. Wynik przyznał mu rację. Ale Belloc w pełni zdawał sobie sprawę z antykatolickich przesądów tkwiących w umysłach mężów stanu, odpowiedzialnych za doprowadzenie do Traktatu Wersalskiego. Wilson był pedantycznym prezbiterianinem, Lloyd George zaś prowincjonalnym metodystą; obaj nie znali Europy. Clemenceau był równie antykatolicki jak i oni, ale jego rozum i patriotyzm utwierdzały go w przekonaniu, iż rozgoryczone i marzące o odwecie Niemcy mogą być powstrzymane tylko wówczas, gdy powstanie silne państwo polskie u ich wschodnich granic.

Belloc dwa razy odwiedził Polskę. Pierwszy pobyt, w roku 1912, był bardzo krótki. Pracował wtedy nad studium kampanii napoleońskiej roku 1812 i chciał sam zobaczyć kraje, w których walki się toczyły. Czytelnicy książki, która była wynikiem jego podróży, mogli się przekonać, jak żywo autor uchwycił charakter tych krajów, chociaż niektóre wnioski mogą się wydawać nieco pobieżne. Niemcy zostały zbyte jako „dziwaczny filtr, poprzez który cywilizacja przenika do Słowian". Dopiero gdy dojeżdżał do Poznania, kuchnia wydała się Bellokowi bardziej strawna, zapewne dlatego, że mógł

WOTUM JASNOGÓRSKIE BELLOKA:

BALLADA O MATCE BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ

Pani, tajemnic pełna, o królowo świata,
Kierowniczko prawdziwa niebios na obłoku.
Wizję Twą świętej Hildzie przyniosła poświata
Nocy, muzyka grała jej w śródleśnym mroku:
Ty przyjmiesz mnie, gdy wody zbraknie w dnie potoku,
Gdy świat ten pocznie nowych zórz okrywać szata.
Ten znak i ta się wiara w sercu moim splata,
Za nie umierać pragnę u Twojego boku.

Głębokie są oceany, nie jedna obiata
W nienasyconym legła tym przepastnym smoku —
Nad pustkowiem przybrzeżnym zimny wicher lata,
Żaden się skał na przystań nie nadaje cokół.
Z obieży Twój mię, Pani, wyprowadzi sokół,
Zawinę do zatoki, zniknie ćma kosmata —
Ten znak i ta się wiara w sercu moim splata,
Za nie umierać pragnę u Twojego boku.

Pomocy zwyciężonych, złota Twa komnata,
Zbrojownia miecza, wieża, lśniąca na gór stoku
Bielą kości słoniowej, szczyt, co w niebo wzlata
Nad który nie ma szczytu, w słońca lśnisz otoku,
O wizjo wojownika wśród walczących tłoku:
Twa potęga zwycięstwem me uwieńczy lata —
Ten znak się i ta wiara w sercu moim splata,
Za nie umierać pragnę u Twojego boku.

Przesłanie:

Książę, nicość poniżeń cześć twa i zapłata —
W rozpadłej tej komorze leżąc u twojego troku,
Powtarzam wiarę, co się z sercem moim splata:
Za nią, za nią umierać pragnę u Jej boku.

Hilary Belloc

Przekład wiersza Hilarego Belloka „Ballade to Our Lady of Częstochowa" został dokonany w Polsce w czasie okupacji niemieckiej i umieszczony w wydanej konspiracyjnie przez „ZAŁOGĘ" antologii pt. „POLSKA W POEZJI ANGIELSKIEJ", w opracowaniu Piotra Grzegorczyka. Autor przekładu nie jest znany. Odbitka fotograficzna książki znajduje się w zbiorach Biblioteki Polskiej w Londynie.

(Zarówno sam tekst przekładu, jak i dotyczące go szczegóły otrzymaliśmy — z okazji sierpniowych uroczystości jasnogórskich — od współpracującego z ŻYCIEM p. W. T.)

znowu dostać swoją ulubioną potrawę: raki w białym winie. Dotarł do Torunia następnego wieczora, promem przeprawił się przez Wisłę i wsiadł na pociąg ówczesnego granicznego miasta Rosji, Aleksandrowa.*) Był tylko 24 godziny w Warszawie, która przypomniała mu posępne miasto Omaha wśród prerii amerykańskich. Wysłuchał Mszy św. w kościele św. Józefa, ale — co raczej zadziwia — nie rozmawiał z nikim poza robotnikami pogłębiającymi Wisłę...

Drugi pobyt, w kilka lat po wojnie, miał charakter pielgrzymki. Celem jej było sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej. Belloc wiózł ze sobą rękopis ballady, która nosi Jej imię...

„Lady and Queen, and Mystery manifold
And very Regent of the untrouble sky..."

Był na Mszy św. w kościele klasztornym, a potem zaniósł balladę, oprawną w czarne ramki do kaplicy, gdzie króluje sławny cudowny obraz. Zawiesił swoje wotum wśród innych przy ołtarzu po stronie Ewangelii. Przedtem przetłumaczył wiersz prostą łaciną i tłumaczenie to złożył w archiwum klasztornym. Przyjaciel mój, który niedawno odwiedzał Częstochowę, powiedział mi, że wiersz nie wisi już na swoim dawnym miejscu, i że zwrócił na ten fakt uwagę władzy klasztornej. Uważał — i słusznie — za ważne, by tłumy, które spieszą na Jasną Górę, mogły się naocznie przekonać, iż angielski poeta był jednym z przyjaciół ich kraju.

Belloc podziwiał w Polsce i w Polakach niewygasły jeszcze płomień wojującego chrześcijaństwa, choć sądzę, że wielu Polaków uznałoby jego poglądy za zbyt romantyczne. Belloc zawsze uważał, że silne włościaństwo jest najpewniejszą podstawą moralnego i politycznego zdrowia narodu, a jednak nie brał dostatecznie pod uwagę znacznego nagromadzenia własności ziemskiej w Polsce w rękach stosunkowo niewielu wielkich rodów. Podobnie całkowita nieznajomość Bizancjum i wszystkiego, co ono przedstawiało i niosło, sprawiała, że Belloc nie dostrzegał takich spraw jak pacyfikacja Ukraińców, która gorszyła wielu Anglików o poglądach liberalnych.

Miał on jednak na pewno rację okazując nieufność w stosunku do usiłowań, by poprzez porozumienie z Rosją powstrzymać ekspansję na wschód hitlerowskich Niemiec w roku 1939. Pakt Mołotow - Ribbentrop stał się ponurym dowodem jego dalekowzroczności. Zauważył kiedyś w rozmowie z przyjacielem, że jeżeli Brytyjczycy nie powstrzymają Niemiec przed sięgnięciem po Gdańsk, to w dalekiej konsekwencji Wielka Brytania utraci swoje posiadłości na Dalekim Wschodzie... Wydawać by się mogło, iż zbyt odległy był związek między przyczyną i skutkiem, ale uwaga ta wskazywała na proroczy niemal dar przewidywania nieuchronnych następstw. Równocześnie jednak Belloc nie miał złudzeń co do możliwości stawiania przez Polaków dłuższego oporu. Odwiedził Brukselę w początkach roku 1939 i miał długą rozmowę z Van den Bergenem, szefem belgijskiego sztabu generalnego. Van den Bergen powiedział mu, że Rosja nie jest zdolna do dostarczania amunicji Polsce, ponieważ nie ma broni tego samego kalibru w obu armiach. Polacy zaś sami nie mogą produkować dość amunicji i okres ośmiu tygodni będzie kresem ich zdolności do zbrojnego oporu.

Mimo głęboko zakorzenionej nieufności do Niemiec, Belloc uważał, że azjatycki komunizm Rosji Sowieckiej jest najgroźniejszym niebezpieczeństwem, jakie staje przed cywilizacją europejską. W trzy miesiące po wybuchu wojny pisał do swego przyjaciela Duff Coopera: „Jestem całkowicie przekonany, że największą obecnie groźbą jest komunizm, wpuszczony tylnymi drzwiami. Wpuściło go barbarzyństwo niemieckie, ale niemieckie barbarzyństwo może być ponownie ucywilizowane lub częściowo ucywilizowane przez zachodnią Europę; natomiast, gdy komunizm raz ruszy, będzie się rozprzestrzeniał jak ogień, dla którego paliwo jest przygotowane, ogień nie do ugaszenia. Jedyną siłą, która by mogła powstrzymać katastrofalny potop, jedyną zaporą mogłaby być Polska...

Polska jest sprawdzianem — to była myśl przewodnia jego broszury „Katolicy i wojna" („The Catholic and the War"), w której określał moralne podstawy stanowiska sprzymierzonych. Jeżeliby Polska została osłabiona lub jeżeliby miała przestać istnieć w wyniku wojny, to wojna ta, którą Belloc na równi z przeważną częścią opinii publicznej uważał za konieczną, byłaby przegrana. Gdy się wojna toczyła i stopniowo zmieniała swój charakter, stan zdrowia Belloka pogorszył się już był na tyle, że uniemożliwiał mu dokładne zdawanie sobie sprawy z zachodzących wydarzeń. Była to okoliczność na pewno miłosierna dla jego duchowego spokoju.

Był świadkiem ukrzyżowania Polski między dwoma łotrami; był świadkiem załamania się w ciągu paru tygodni armii francuskiej w której służył jako artylerzysta i którą uważał za niezwyciężoną; jego najmłodszy syn zginął na froncie. Wszystko co kochał, czego bronił nieustraszenie w niewyczerpanych dysputach w ciągu długiego żywota, leżało — zdawać by się mogło — w gruzach. Sądzę jednak, że nawet gdyby umysł jego zachował dawną jasność i żywotność, nie poddałby się rozpaczy. Belloc nie był z natury optymistą, ale w przeciwstawieniu do wyznawców „optimisme béat", dla których żywił pogardę, czerpał siłę z chrześcijańskiej cnoty nadziei.

Polska — jej dzieje i jej misja — to był temat, który go zawsze pobudzał do wzlotów uniesienia retorycznego. Ludzie, którzy słyszeli go mówiącego o Polsce, wynosili niezatartą pamięć jego daru wymowy w służbie wiary.

Belloc wierzył głęboko i wytrwale, że duchowe i umysłowe wartości Europy zawsze przemogą w ostatecznej rozgrywce niedojrzałe prostactwo jej wrogów.

Polska dlatego właśnie potrafiła przeżyć tyle klęsk, bo była i jest, najściślej i najistotniej, częścią Europy. Umiała i umie opierać się przemocy siłą ducha i zdolności umysłowych nawet wtedy, gdy nie jest już zdolna do oporu zbrojnego.

Robert Speaight

Tłum. z ang. S. G.

*) Chodzi o Aleksandrów Kujawski, który był wówczas granicznym miastem między dwoma zaborami Polski: pruskim i rosyjskim.



Robert William Speaight, M. A. (Oxon), FRSL, — autor artykułu o Belloku w Polsce, napisanego dla ŻYCIA — aktor i reżyser, pisarz, krytyk, wydawca, komentator radiowy, jest postacią prawdziwie „elżbietańską", szeroko znaną także poza katolicką społecznością brytyjską, w której odgrywa od lat jedną z czołowych ról.

W teatrze upamiętnił się rolami szekspirowskimi, a może najbardziej wstrząsającą kreacją roli św. Tomasza Becketa w sztuce Eliota: „Morderstwo w katedrze"; występował w zespołach brytyjskich na festiwalach międzynarodowych w Edynburgu (1948 i 1957), w Canterbury (1953) i w Paryżu 1954).

Dorobek pisarski Speaighta obejmuje: „Mutinous Wind" (1932), „The Lost Hero" (1934), „The Angel in the Mist" (1936), „Thomas Becket" (1938), „The Unbrocken Heart" (1939), „Acting" (1939), „Drama since 1939" (1948), „George Eliot" (1954), „William Peel" (1954), „Nature in Shakespearian Tragedy" (1955), „Hilaire Belloc" (1956); ostatnią pracą są „Listy Hilarego Belloka" (Letters from Hilaire Belloc edited by Robert Speaight).

Liczne artykuły w prasie brytyjskiej i obcej, odczyty w Anglii i zagranicą, regularne występy w radio i telewizji, uczestnictwo w kongresach i zjazdach katolickich międzynarodowych są dalszymi przejawami jego wszechstronnej aktywności. Speaight jest dyrektorem znanego katolickiego domu wydawniczego Hollis & Carter.

EWA GIERATOWA

PRĄDY INDUKCYJNE NOWEGO FOUCAULD*)

Rodziców stracił w dzieciństwie, a uwielbiany dziadek nie ogląda już przed śmiercią wybryków wnuka, opasłego epikurejczyka, choć młodego jeszcze oficera, wypełniającego pijackie życie szokowaniem kolegów. Gdy pułk jego wysłano do Afryki, Vicomte Charles de Foucauld zabrał się tam wraz ze swą kochanką Mimi, nieraz zabawiając się przedstawianiem jej jako pani hrabiny. Wówczas został zdegradowany i zdymisjonowany — ale nie wrócił do Paryża, bo Czarny Ląd rozpalił jego wyobraźnię. Kiedy rozpoczęły się walki w Algerze, zgłosił się na szeregowca i wkrótce odzyskał oficerskie szlify.

W czasie kampanii odkrył otaczających go ludzi: w osobie Laperrine'a znalazł dozgonnego przyjaciela, z którym wiele lat później miał dzielić pustynny grób w Tamanrasset; dzięki wspólnocie codziennych trudów pokochał szczerze żołnierzy, którzy w tak prosty sposób umieli poświęcać życie.

Następujący potem rekonesans Maroka, nagrodzony złotym medalem Paryskiego Towarzystwa Geograficznego, przerzucił młodego oficera w przebraniu ubogiego Żydawędrowca w tajemniczą krainę piasków i skał, do plemion, gdzie nie stanęła jeszcze stopa Europejczyka. Milczenie pustyni i głęboka cześć, jaką izraelici i mahometanie oddają Bogu, sprawiły na de Foucauld potężne wrażenie. Może to wówczas zasmakował w skromnym i cichym życiu, do jakiego zmuszała go przybrana rola? Może w tych pustynnych, samotnych miesiącach przemówiły doń złote gwiazdy i przezroczystość poranków, po raz pierwszy witanych czystymi oczyma i myślą nie zamgloną przez nocne hulanki?

Wróciwszy do Paryża, de Foucauld godziny całe spędza w kościołach z jedną upartą myślą: „Boże, jeśli jesteś, niech Cię poznam". Wraz ze swą „drugą pierwszą Komunią" osiąga pewność, radość, pokój. „Gdy tylko uwierzyłem, że istnieje Bóg, zrozumiałem, że nie pozostaje mi nic jak żyć wyłącznie dla Niego" — napisze w 15 lat później.

Nie od razu jednak znajduje swoją drogę. Życie trapisty nie jest dla niego dostatecznie proste i ubogie. Po siedmiu latach — jak zawsze za radą swego spowiednika, któremu jest posłuszny bez zastrzeżeń — opuszcza zakon i wyjeżdża do Nazaretu, gdzie spełnia najniższe posługi w klasztorze klarysek. Zapomniany, nędzarz, w łachmanach, o chlebie i wodzie, oddający swe niedzielne daktyle dzieciakom, które ciskają weń kamieniami, hrabia Charles de Foucauld osiąga szczęście. Lecz ciągle woła go pustynia i jej wędrowne szczepy. Charles de Jesus opiera się powołaniu duchownemu: „Nie chcę porzucić poniewierki w Nazarecie, którą uważam za kroczenie śladami Chrystusa. A jednak w końcu... posłucham". Kończy teologię, wyświęcony na księdza w czerwcu 1901 roku lokuje się w Beni Abbes, oazie na granicy marokańskiej. Ale to mało, trzeba iść głębiej w pustynię. Przyjaciel z lat wojskowych, Laperrine, wzywa go do Haggaru. Ojciec Karol zamieszkuje pustelnię w Tamanrasset, na szlaku wędrownych Tauregów. Jest im bratem, pielęgniarzem, doradcą. Pomimo tęsknoty do pustelniczej samotności, otwiera nie tylko swe serce, ale i swój szałas czarnym niewolnikom, dezerterom z wojska, uciekinierom spod rządowego czy szeikowego prawa, wszelkim odpadkom ludzkim o wątpliwej przeszłości i bez żadnej przyszłości, prześladowanym i samotnym. Dla nich jest trzcinowa mata, służąca ojcu de Foucauld za posłanie, podczas gdy on sam modli się za nich w lepiance-kaplicy, u stóp Pana Wszechrzeczy, sprowadzanego słowami konsekracji wpośród najnędzniejsze i niegodne sługi. Im to ojciec Karol poświęca dzień za dniem, w każdym znajdując Chrystusa. Nadużywali jego miłości, eksploatowali dobroć, wreszcie 1 grudnia 1916 strzałem z rewolweru przecięli życie — za nich ofiarowane.

W gorącym piasku francuscy żołnierze znaleźli ciało, a zaraz obok Hostię w monstrancji: Chrystus dał się pogrzebać ze swoim sługą. Przyjęli Komunię, jakby udzielał jej spoza grobu Męczennik Pustyni.

Umarł w głębi Sahary, bez przyjaciół, czy choćby towarzyszy, którzy by świadczyli o jego życiu i śmierci — a trudno mówić o dziele, ojciec de Foucauld bowiem nie tylko nie ufundował misji ani kościołów, nie tylko nie był pierwszym przeorem jakiegoś nowego zakonu, ale nawet nie ma na swym rachunku żadnego nawrócenia: ani jednego nazwiska nie wpisał do rejestrów Rzymskiego Kościoła Powszechnego.

Zajętemu wojną światu zdawać by się mogło, że życie ojca Karola bez żadnego echa wsiąknie wraz z jego krwią w piasek Sahary.

Ale, że ziarno obumarło — więc wydało plon. Skromne powielacze, potem maszyny drukarskie, rozniosły ziarno-słowo po świecie. Padało podle drogi i wśród cierni i na skałę — ale padło i na ziemię dobrą i puściło korzenie. Petit Frères de Jesus — Mali Bracia Jezusowi — z filcowym krzyżem i sercem na arabskich burnusach pojawili się na pustynnych szlakach, przemierzanych tylokrotnie przez swego duchowego założyciela. Ujrzeć ich można z tym samym sercem i krzyżem na kombinezonie w kopalni czy fabryce Francji i Belgii, albo w rybackim, impregnowanym drelichu na kutrze. W 1939 roku, gdy druga wojna światowa rozpoczynała epokę, mającą zwać się w podręcznikach historii atomową, w ślad za braćmi poszły siostry. W niespełna 20 lat 700 kobiet 43 narodowości przywdziało szaroniebieskie, bawełniane suknie, sandały i granatowe chustki, na które w Wietnamie czy na Cejlonie, kładą stożkowe słomiane kapelusze — jak wszyscy.

Pustynia i koczujące arabskie plemiona były przy narodzinach tej nowej rodziny w Kościele — a raczej przy śmierci jej twórcy. Ci, co poszli w jego ślady, świadomie rozrzucają się po całym świecie, bacząc, by zgodnie z jego wolą co najmniej jedna czwarta żyła wśród braci mahometan. Dwudziestowieczna wyprawa krzyżowa na Islam, nie jest jednak walką, nie występuje przeciw żadnym niewiernym. Ani Mali Bracia Jezusowi, ani Małe Siostry, ani członkowie Instytutów i Bractw Świeckich nikogo nie nawracają i nigdy nie mówią o wyższości swojej religii, a w pojęciu ślepych i głuchych na świat ducha — właściwie nic pożytecznego nie robią. Cel ich — to miłość Chrystusa, któremu ofiarują się bez reszty i miłość najnędzniejszych ludzi, za których poświęcają się, żyjąc wśród nich, w identycznych jak oni warunkach. Droga do celu — to ciężka praca na chleb powszedni, dzielona z milionami ubogich od Alaski po Antarktydę i godziny spędzane przed tabernakulum w małej izbie, w szałasie, w namiocie, lub w lodowym igloo — kaplicy, zawsze takiej samej, jak mieszkanie ich trzy-pięcio-osobowego zespołu. Oto cały ich program. Tylko tyle i aż tyle.

Przyzwyczajonym do masówek i propagandowych efektów, wyznawcy ojca de Foucauld nie imponują ani liczbą, ani... w ogóle niczym. Jakże oderwać się, szczególnie w Ameryce, od wymowy tysięcy i milionów, od reklamy, od kultu osiągnięć — bożka, złotego cielca, któremu hołduje się bezapelacyjnie i na każdym kroku? A te Małe Siostry, jakby na przekór, właśnie nie starają się wcale, aby o nich wiedziano, nie przeprowadzają kampanii w poszukiwaniu nowicjuszek, nie podkreślają pożyteczności swego życia, nie mogą pochwalić się szkołami, czy szpitalami, nie uczą dzieci katechizmu, nie zmieniają swej ubogiej siedziby na przychodnię lekarską dla całej okolicy, nie prasują kościelnych obrusów. W czasach, gdy pustkę życia zabija się szałem działania i organizowania, automatycznie ciśnie się pytanie: więc po co?

Po to, aby wśród zwykłych, ubogich ludzi, prowadzić niezwykłe i najbogatsze — bo zjednoczone z Bogiem — codzienne życie. Ludzie obserwują — i opowiadają:

„A tu naraz parę lat temu, moja pani kochana, takie mniszki całkiem nieklasztorne tu u nas na Presidenti Altino*) się zjawiły. Irmanzinhas**) mówią o nich. Ani to habitu gatunkowego jak przystało, ani nic, tę marną spódnicą podkasze i w długich pantalonach pedałuje rowerem do fabryki. A tym postulantkom duży drewniany krzyż na szyi na sznurku zwyczajnym tak jakoś telepie się bez żadnej godności; potem nowicjuszki przynajmniej noszą na szyi różaniec, to już wygląda lepiej; a po ślubach różaniec na pasku, a na sukni filcowe ciemno-czerwone serce na tle brązowego, dużego krzyża. W przepaścistej kieszeni scyzoryk, włosy spod chustki wymykają się niesforne, gęba roześmiana, ani śladu powagi. Na powitanie rzucają się w objęcia, w niedzielę, jak czasem pójdą w gościę, to usiądą na

---

*) Jean Foucault, 1819-1868, fizyk francuski, którego imieniem nazwane są prądy indukcyjne, zamieniające się w ciepło.

Charles de Foucauld, 1858-1916, misjonarz francuski, zamordowany na Saharze, którego miłość bliźniego stała się natchnieniem nieklasztornych zakonów, powstałych po jego śmierci.

*) Przedmieście Sao Paulo, Brazylia.

**) Zdrobnienie od „irma", po portugalsku siostra.

podłodze, tak bez żadnej ceremonii. Śpiewają wcale nie tylko pobożne pieśni, a ta jedna młoda Murzynka pokazywała im tańce afrykańskie i te starsze wcale jej nie zabroniły! A jak do tej drugiej młodej Francuzki, co jest w nowicjacie koło Belo Horizonte, przyjechali w odwiedziny rodzice, to na dwa tygodnie zwolnili ją w ogóle, jeździła ze starymi do Rio i tu do Sao Paulo. Dróżnik, skromni ludzie z małej dziury, pierwsza i jedyna ich podróż w życiu, wszystkie oszczędności wydali! Ale zachwyceni. No bo też, między nami mówiąc, żadna para królewska nie miałaby tak serdecznego przyjęcia. Irmazinhas mają przyjaciół, przeważnie biednych jak one, ale co najlepsze własne łóżko starym na parę nocy odstąpili, wszyscy sąsiedzi ich zapraszali, no a już siostrzyczki cieszyły się im jak rodzone, tuzin córek mieli, nie jedną. Wyjechali oczarowani, że Brazylia to najgościnniejszy i najpiękniejszy kraj na świecie. Inna to podróż niż bogaczy z Paryża do Rio po hotelach wielkich, tacy sobie zwyczajni lepiej poznali nowy kraj i przyjemniej i tak po ludzku... A Sara, córka stolarza, tych co obok drogerii mieszkają, do Irmazinhas wstępuje, też pewno kawał świata zobaczy, do Francji pojedzie, a może i na pustynię, gdzie ten ich Święty zamordowany, co to jego fotografia u nich na skrzynce stoi. O, dużo się ja dowiedziałam, tak po sąsiedzku mieszkając wpadnę nieraz wieczorem, przysiądę na małej skrzyneczce — to u nich niby krzesło, a większa — to stół, a stojące w rogu — to szafki na książki. Na całej ścianie mapa świata wisi, szpilki kolorowe powtykane tam, gdzie one mieszkają. I fotografie różne oglądałam w albumie, miasta i puszcze, śnieg i piasek, wszędzie ich po parę, zawsze bida z nędzą, i te roześmiane oczy. Ale nie siedzę długo, bo Lucinią Martina na zegarek zerknie nieznacznie i wiem, że ledwo wyjdę, powie: „A teraz zobaczmy, cośmy też dzisiaj zmalowały". Na rozkładzie dnia, co wisi u nich w kuchni, wyczytałam, że o tej porze mają „przegląd życia"; ciekawość brała, co też to jest — a one to zwyczajnie rozmawiają sobie co przez cały dzień się zdarzyło, co zrobiły źle, czy dobrze i jak jutro ma być lepiej. Niechby tak rzeczywiście co dzień było lepiej! Zresztą u nas w parafii dużo się poprawiło za czasów Padre..."

Wyboista droga wiedzie z centrum Sao Paulo na dalekie przedmieście. Domki na Presidenti Altino nie wyglądają rozpaczliwie i warunki mieszkaniowe można by ocenić na oko jako znośne. Ale pod każdym dachem gnieździ się nie jedna rodzina, lecz kilkanaście osób, a do każdego piecyka dopycha się kilka kobiet z garnkami. Psy i kury taplają się w błocie uliczek i w głębokich rynsztokach, razem z bosymi dziećmi. Hebanowe, lnianowłose i czekoladowe, są jednakowo obdarte i umorusone — lecz nie jest to brud zastarzały, widocznie więc szorowanie młodego pokolenia nie stanowi odświętnej rzadkości, nieodłącznie związanej z niedzielną wyprawą do kościoła.

Kościół jest spory i pełen tandetnej brzydoty. Padre powyrzucał co najgorsze upiększenia — ale nie można robić ludziom przykrości, zresztą przedmiotów potrzebnych nie byłoby przecież czym zastąpić. Bardzo kolorowe witraże — dar parafian — umieszczone są wysoko pod sklepieniem. Ten środkowy z Matką Boską Częstochowską ufundowali Polacy.

— Dobrzy ludzie — mówi o nich Padre — tylko za dużo piją. Miłe ich blondasy, gdy tak usiądą w kościele, przemieszane z murzyniątkami, nie mogę się napatrzeć tym różnym typom!

Padre właśnie z daleka oznajmia się swym pupilom zachrypłym klaksonem, a po chwili powiązany sznurkami Ford — model 1927 — przepycha się wśród dzieciarni ku budynkowi, zwanemu plebanią.

Padre był w mieście. Po drodze zatrzymał się u Wandy — znaczy w domku na Vila Madalena, bo Wanda cały dzień ujeżdża po mieście. Hulajnoga na czterech kółkach, podniecając się prychaniem i głośnymi obrotami motoru, wozi „profesorę" angielskiego z lekcji na lekcję. W domku jest jednak Dona Buniu i zaraz zabiera się rozsądnie do zorganizowania krótkiej wizyty Padre: położyła go w swoim pokoju, żeby sobie pozałatwiał telefony i tak niby nie chcący, żeby się zdrzemnął chwilkę, a w międzyczasie wzięła się do przygrzewania czegoś z obiadu — wiadomo, pewno znów trzy dni nic ciepłego nie miał w ustach. Padre nie opiera się ani kładzeniu, ani jedzeniu, bo choć ma dopiero Chrystusowe lata, wie z doświadczenia, że z babami jeszcze nikt nie wygrał. A to jest przecież babiniec jakich mało: trzy pokolenia po kądzieli, plus pociotki i przyjaciółki — mężczyzny ani na lekarstwo! Nawet jak się przybłąkało czworonożne stworzenie — spełnienie marzeń Klary — to okazała się suczka.

— Wiesz, ja miałam kanarka, ale umarł po dwóch dniach, Bunia z mamą śmiały się, że w naszym domu nie wytrzymał, bo to był pan — mówi poważnie siedmioletnia Klara, oczko w głowie Buni. Ona to ochrzciła babkę swym wołaniem „Buniu", które zapadło w nieświadome polskich deklinacji brazylijskie uszy, i już wśród wszystkich utarło się: Dona Buniu. Trudno zresztą, by tubylcy zapamiętali egzotyczną Grażynę, na chrzcie świętym Buni nadaną ku czci mistrza Adama.

Dona Buni nakarmiła tę skórę i kości, w których zamknięty trzepoce się duch Padre. Klara właśnie wróciła ze szkoły, a zaraz w bzikowaniu Milcia rzuciła się do swej pani z głośnym szczekaniem i wplątała się księdzu pod nogi...

— Buniu, czemu on jest w piżamie, przecież to dzień, a nie noc?

Padre nie rozumie po polsku, ale wybucha śmiechem, unosi łataną sutannę i objaśnia — bardziej Buni niż Klarze — że taką modę w biało-niebieskie paski teraz wprowadza, ale myślał, że nikt nie zauważy, wszystko przez tę Milukę! Portki mu się gdzieś zapodziały...

Bunia kiwa głową, bo wie dobrze, że zapodziały się na jakimś nędzarzu, który pewno i nocował w łóżku wielebnego księdza proboszcza. Klara orientuje się natychmiast, że lepiej nie badać sprawy, szepcze więc tylko:

— On oddał spodnie biednemu, prawda, Buniu?

Po czym przerzuca się na portugalski i aby jak najdalej odpłynąć od drażliwych kwestii garderobianych, opowiada szybko historię Dony Guiomar.

Właśnie była tu trzy dni temu, z Camillą Aparicidą i z tym synkiem, co się dopiero urodził, tu siedziała na fotelu i strasznie płakała, bo Geraldo nie wrócił do domu już dwie doby, jak poszedł do roboty tak przepadł. Taki dobry chłopak, całą rodzinę utrzymuje, odkąd ojciec chory...

Padre słucha, a jednocześnie przypominają mu się, jak w filmie, sceny sprzed paru lat: zamknięty z powodu remontu elegancki kościółek w śródmieściu, w słońcu na białych schodach siedzi Wanda, której w środku dnia nadarzyła się wolna godzina z powodu choroby ucznia. Obok przycupnęła ładna bosa cabocla z dzieckiem na ręku. Dona Guiomar woli tu być na powietrzu, niż w swojej norze, szczególnie, że jest znowu w ciąży. Mąż ponoć sparaliżowany, nie pracuje, ale nowe dziecko jest co roku...

Scena druga: Wanda przywozi swoją „hulajnogą" Done Guiomar z małą piękną dziewczynką. „Mam być chrzestną matką, to pierwsza prośba w naszej półrocznej znajomości, niechże Padre chrzci Camillę Aparacidę". Oczywiście ochrzcił. Metryka? Dokumenty? Ach, w parafii jest tyle pilniejszych spraw niż papierki. A wtedy jeszcze Mariela nie krzątała się po Presidenti Altino, teraz dopiero będzie porządek, ho ho...

Padre uśmiecha się do swoich myśli, a Klara trąca go zniecierpliwiona:

— Więc słuchaj Padre, bo Padre nic nie uważa, więc ona tak płakała, że nawet nie chciało mi się bawić z Camillą i nawet Milcia-Miluka przestała machać ogonem, ale właśnie mama wróciła i zaraz sama pojechała na policję i prędko wszystkiego się dowiedziała. Ona też przedtem chodziła na policję, ale nikt jej nie chciał nic powiedzieć; dlaczego tak jest, Padre, że z nią nie rozmawiali, a mojej mamie to zaraz załatwili? Była bijatyka tam na robocie i wszystkich zamknęli do więzienia, ale Geraldo był niewinny, on nikogo nie pobił i już go wypuścili, tylko teraz chory, bo trzy noce spał na cemencie i zimno bardzo było, więc mama zadzwoniła do doktora Hugo i kazała Donie Guiomar iść po lekarstwo i dała jej na autobus, bo to tak daleko. A czy Padre bierze to lekarstwo, co mu dał doktór Hugo? A kiedy wreszcie Padre pojedzie na sitio*), żeby wypocząć?

— Wypocząć? A, jeszcze pociągnę — myśli Padre, wyłączając gaz dobry kawałek przed plebanią, we wspaniałej limuzynie bowiem nie działają hamulce. Jeździ się tak jakoś na opiece Boskiej, zresztą w odpowiednich miejscach jest akurat pod górkę, więc, gdy się nabierze wprawy...

Plebania teraz zadziwia Padre — odkąd zaurzędowała wokół niej Mariela. Posegregowane akty w teczkach, żadne papierki nie wałęsają się wśród bandaży — a lekarstwa i środki opatrunkowe, jak wojsko na defiladzie, prężą się w ordynku na półkach prawie pod sufit. Pokój chłopców, z graciarni stał się przedmiotem ich dumy, a niewypowiedzianej radości Padre, bo przecież — na tej wielkiej parafii — czyż może starczyć czasu i myśli dla dwóch sierot, dla stworzenia im choćby dalekiej namiastki domu? Gdy się samemu pod tym dachem nie ma własnego kąta i czasem przesypia się noc na kościelnym chórze? O, teraz będzie przynajmniej nocleg dla kobiet, bo Mariela wynajęła domek i sprowadziła się tu na stałe. Mój Boże, ale też przeznaczasz ludziom różne ścieżki, byle tylko chcieli Cię słuchać. Tę jedynaczkę, milionerską córkę, tajemnicze prądy, biegnące z afrykańskiej pustyni skierowały do biedoty na Presidenti Altino i stworzyła w parafii trzeci punkt, obok plebanii i Małych Sióstr, gdzie człowiek człowiekowi bratem. Jakże to zamieniają się na ciepło miłości te prądy ojca de

---

*) Mała farma podmiejska.

Foucauld, co za siłę i jakie perły wielkiej ceny stworzą na zapomnianym przedmieściu tętniącego życiem Sao Paulo?

Padre patrzy przez okno — a właśnie, wybierając co suchsze miejsca między kałużami, skacze w rozklapanych sandałach Paulette Gabrielle w granatowej chustce. Przyniosła list do wysłania do rodziców pod Marsylię. Dlaczegoż nie wrzuci sama do skrzynki? Z tego prostego powodu, że instytucja skrzynek jest prawie nieznana w Brazylii, a opróżnianie paru istniejących w centrum miasta należy do rzadkości. Urzędu pocztowego oczywiście nie ma w pobliżu, więc listy zostawia się na plebanii, a Wanda przy okazji zabierze do księgarni doktora Hugo, skąd chłopak co dzień chodzi na pocztę — i to na centralną!

— Ot masz okazję — uśmiecha się Padre — właśnie jest Wanda!

Ileż to już razy bez umawiania — zresztą jak się umówić bez telefonu i bez poczty? — spotkania następują akurat, gdy trzeba! Jakoś z Małymi Siostrami tak się samo składa i już się wszyscy przyzwyczaili. Dziwią się raczej wtedy, gdy coś nie wypadnie i mówią: nawalił prąd.

Wanda przywiozła rower Lucinii Martiny z naprawy. Od jutra nie będzie już biedna gonić piechotą o świcie do fabryki taki kawał, a w południe przyjedzie przycupnąć sobie na Anioł Pański w swojej kaplicy i zdąży z powrotem na posterunek w szatni przed poobiedną falą robotnic. Lucinia Martina bowiem spędza dnie na szorowaniu umywalni i klozetów. Funkcję swą uważa za wspaniałą, jako że zapewnia kontakt ze wszystkimi robotnicami, one zaś chwalą sobie niezwykłą szatniarkę, która nie tylko ma dla każdej uśmiech i dobre słowo, ale przyjmuje zwalane na siebie posługi czy drobne polecenia, chętnie wysłuchuje trosk i łagodzi żale.

Dziś jednak Lucinia Martina nie zostaje na pogawędki, spieszy się, bo to dzień Mszy we fraternité*), a potem będą na kolacji goście Zelia, przedszkolanka w zakładzie dla trędowatych dzieci, Mariela, Buniu z Wandą i Klarą, a nawet ktoś z Nowego Jorku! Co też Paulette Gabrielle ugotowała, troszcy się Lucinia Martina, pedałując zasapana pod górkę.

Robotnicza rzeka rozdziela się wkrótce na drobniejsze strumienie uliczek, a po chwili we wnętrzach domków giną poszczególne postacie. W podwórko narożnej chałupki wsiąka Luciana Martina i opiera rower o studnię. Znowu dzisiaj wpadło wiadro! Paulette Gabrielle pewno martwi się, że przebrnęła przez zbyt małą górę prania...

Każdy zespół musi sam się utrzymać, odprowadzić trochę grosza do centrali, zarobić na dalekie, a konieczne podróże. Paulette Gabrielle zarabia praniem, pilnie uczy się portugalskiego i gospodaruje.

W Rio zaś pranie stanowi podstawę finansów czterech Małych Sióstr na faveli. Favela Morro San Carlos — uboga dzielnica na górze św. Karola — składa się, jak każda brazylijska favela, z budek, lepianek, domków, baraczków, szałasów, uczepionych zbocza bez ładu i składu, jak Bóg da. Między podwórkami i przedziwnymi „ścianami" z ażurowych skrzynek od owoców, rozpłaszczonych puszek, gałganów i papierów — wiją się przejścia i ścieżki. W fantazyjnym labiryncie orientować się trzeba „na nosa". Gdy lepki, styczniowy upał zalega Rio, człek modli się o utratę powonienia, na faveli bowiem nie tylko nie ma kanalizacji, ale nawet „urzędowych", otwartych rynsztoków: wszystko płynie sobie jak i którędy chce.

Przez favele przewijają się goście. Rio jest dużym portem i lotniskiem, krzyżuje się tu wiele dróg. U Małych Sióstr czeka nie tylko serdeczne przyjęcie; w drewnianej szafce, obciągniętej wykrochmalonym, białym płótnem, dzień i noc czeka On. Wąską przestrzeń między cienkimi ściankami kaplicy wypełnia migotanie wiecznego płomyka. Gdy się klęczy lub siedzi na uginających się lekko deskach podłogi, mając Tabernakulum lub Monstrancję w zasięgu ręki — On zdaje się wypełniać życie i świat, jak światło tę izdebkę. Cały dzień i na cotygdniowe nocne wystawienie ciągną do Niego mieszkańcy faveli, którzy nie często chodzą do kościołów w mieście. I wydaje się, że nasiąkają światłem.

Nie uczą w fizyce — nawet elektronowo - atomowej — formułki matematycznej na noszenie światła w ludzkim ciele. Takie dziwo można jednak czasem zobaczyć na własne oczy.

Telefon w domku na Vila Madelena na pewno nie rdzewieje. Sao Paulo rośnie, sieć nie nadąża. Na linię trzeba czekać cztery lata a w międzyczasie korzystać z aparatu sąsiadów, o ile — oprócz telefonu — posiadają nieco życzliwości. Babiniec ma pod tym względem wyrobioną markę, toteż, choć na małej uliczce są trzy uprzywilejowane cudownym wynalazkiem mieszkania, tylko głos Dony Buniu rozlega się o różnych porach dnia i tylko Dona Buniu drepcze w szlafroku o różnych porach nocy (jedyny to chyba raz, gdy właśnie drepcze bo normalnie przebiega ulicę na skos pomiędzy samochodami i wskakuje do autobusu)...

— Dona Monica! Telefon!

Sąsiadka przybiega już dziś po raz trzeci i rozpływając się w podziękowaniach chwyta słuchawkę. I znowu:

Dryn... dryn...

— Buniu? Dobrze, że jesteś. Bo zaraz ktoś tam do ciebie przyprowadzi Williama, wiesz tego małego, co mieszka na plebanii u Padre. Wrócił z wakacji i nie ma co z nim zrobić, jeszcze tydzień przed szkołą, trzeba go zawieźć do Padre na sitio.

— A kto go zawiezie?

— Nie wiem, zobaczy się...

— A to Padre wreszcie pojechał na sitio?

— Pojechał. Ale dopiero, gdy zemdlał w kościele, po załatwieniu wszystkich formalności z terenami, zatwierdzeniu projektu nowych domków i zmontowaniu kooperatywy. Może już niedługo pierwsi parafianie mieszkać będą jak ludzie, nie jak bydlęta?

Wśród pagórków pod miastem doktor Hugo wystawił dom z polnych kamieni. Tu po kolei ściągają różni nieoficjalni „pacjenci", aby patrzeć w niebo i wąchać ziemię. Padre niewiele narozkoszował się samotnością; teraz przyjedzie William i już jest jego towarzysz, a potem zaraz trzeba wracać — bo kooperatywa nie może czekać z budową... Ciekawe, kto też przywiezie Williama? No nic, są przecież wakacje...

Jakiś siwy pan zadzwonił do furteczki na Vila Madalena.

— Przyprowadziłem Williama, stąd ma go ktoś zabrać na sitio doktora Hugo.

— A tak, dziękuję, odpowiada bynajmniej nie speszona Bunia, zwyczajna znacznie dziwniejszych i niespodziewanych wizyt.

Obojętne kto i kiedy Williama zabierze, trzeba przecież dać mu obiad. Może choć raz Klara zje przyzwoicie, w rywalizacji z innym dzieckiem, marzy sobie Bunia, popychając Williama do stołu.

Dryn... dryn...

Bunia znów podbiega do telefonu.

— Co? Frere Henri przyjedzie? Zabrać Williama? Ależ to świetnie!

Wysiadł z samochodu ojców kanadyjskich, których Collegio Santa Cruz jest najpoważniejszą szkołą w mieście, i delikatnie zadzwonił.

Potem... potem jadł obiad, a jakże — z apetytem, i rozmawiał miłym dźwięcznym głosem, pytał o Polskę i o Częstochowę, opowiadał o swoich podróżach. Ale to wszystko nieważne, nieważne. Ważne były oczy.

Niebieskie? Piwne? Szare?

Nieważne, nieważne jakiego koloru.

Świetliste.

— No nie gap się tak, może jeszcze gębę rozdziawisz — z uśmiechem szepcze po polsku Wanda, zagadując jednocześnie gościa po francusku i odbierając telefon (po portugalsku) w sprawie nowej uczennicy (angielskiego).

Dzwonek telefonu przerwał czary. Oczy okazały się osadzone w kształtnej głowie o falujących ciemno blond włosach, cienkim, zgrabnym nosie i uśmiechniętych ustach, ukazujących ostrą białość zębów. Więc, żeby już najdalej od oczu, należało teraz zauważyć sandały z ręcznie plecionych i supłanych rzemieni, o wielkich podeszwach, stanowiących obfite obramowanie dla zgrabnych, rasowych stóp. Do stóp tych pasowały szczupłe dłonie, wychodzące z rękawów wojskowej wiatrówki, na której kołnierz wykładała się równo brązowa sportowa koszula, otwarta a la Słowacki. A nad lewą kieszenią — krzyż i serce. Na samym sercu.

Mariela wytłumaczyła skąd wziąć autobus i dokąd dojechać, Klara przyprowadziła Williama, Bunia zaprosiła, żeby koniecznie następnym razem, Wanda podała mały chlebaczek. Wziął chłopca za rękę, cały swój dobytek przerzucił sobie lekko przez ramię, podziękował, żegnając się z wdziękiem i sprężystym krokiem sportowca przeniósł swą smukłą, opaloną postać poza próg. Skrzypnęła mała furteczka i Milcia-Miluka zaszczekała, machając ogonem.

— Skądeście wytrzasnęły tego archanioła? Kto to? Co robi?

— Chodzi po świecie i roznosi zarazki świętości. Syn jakichś bogatych przemysłowców z Lyonu, czy z Grenoble. Wstąpił do Petit Frerès de Jesus, był w paru różnych fraternites, ale jakoś mu nie wychodziło. Raz posłano go z listem, dwa tygodnie wędrował przez pustynię — i odkrył swe powołanie: chodzić po świecie. No i chodzi — chociaż przełożeni podobno drugiemu nigdy nie pozwolą. Ale gdzie taki drugi! W Brazylii jest dwa lata. Kiedyś u dominikanów zobaczyłam klęczącego człowieka, pomimo jego wytartych portek wydało mi się, że to nie był zwyczajny żebrak. Msza się skończyła, wyszłam, a on w swoim kącie ani się ruszył. A potem, gdy była tu Soeur Mathilde, przełożona na Amerykę Południową, przedstawiła mi go. Poznałam, że to ten żebrak sprzed roku, choć wtedy nie widziałam jego oczu...

---

*) Po francusku bractwo, nazwa zespołu Małych Braci lub Sióstr, oraz miejsca ich zamieszkania.

TADEUSZ FELSZTYN

STULECIE TEORII DARWINA

Swoją teorię o ewolucji gatunków ogłosił Karol Darwin w dniu 1 lipca 1858, w Linnean Society w Londynie (książka jego „The Origin of Species" pojawiła się dopiero w listopadzie 1859).

Rocznicę tę uczciła prasa i radio angielskie szeregiem artykułów i prelekcji. Przy tej okazji przypomniano sobie i o Wallasie, który był współautorem tej teorii i którego list był bodźcem do wystąpienia Darwina.

Pomimo wielu oporów ze sfer, przeważnie luźno tylko związanych z naukami przyrodniczymi, teoria Darwina znalazła bardzo szybkie uznanie wśród biologów, przyrodników i filozofów przyrody owej epoki, i wielu bardzo gorliwych propagatorów, jak np. T. H. Huxley.

Teoria ewolucji gatunków Karola Darwina nie była ani nowa ani wyczerpująca. Przed nim głosili ją: jego dziadek Erazm Darwin (1794) i Lamarck (1802). Nie była ona całkowicie przekonywująca, skoro sam Darwin w ciągu swego życia, zmuszony do tego nowymi faktami, w wielu istotnych szczegółach zmieniał swe poglądy. Co więcej, stwierdza jeden z przodujących dziś genetyków angielskich, Darlington (The New Scientist, 84, 255), w niektórych szczegółach była ona błędna. A jednak rychło stała się tak powszechnie uznaną, że mało kto ośmielał się w nią wątpić i że nawet dziś jeszcze twierdzi np. Sir Ronald Fisher (The Listener, 17. 7. 1958, str. 87), iż teoria ewolucji jest nie hipotezą, ale niewątpliwym objawem przyrody.

Na czym polegało szybkie zwycięstwo tej teorii? Odpowiedź na to daje Darlington. mówiąc, że „sukces Darwina polega na jego zdolnoci dostosowywania faktów do idei" (The Listener, 31, 7, 1958, str. 165). Teoria Darwina zjawiła się w chwili, gdy świat przyrodniczy na nią oczekiwał. W swym dążeniu do ujęcia całości zjawisk przyrodniczych w jeden zwarty system, w jedną całość, rządzoną jedynie prawami materii, do sprowadzenia całej różnorodności otaczającej nas natury — do kilku „podstawowych praw przyrody", odwiecznych i niezmiennych, mechanicznie powodujących wszystko, co się na świecie dzieje, znaleźli ówcześni przyrodnicy w teorii Darwina wyłącznie ślepymi siłami przyrody rządzony mechanizm, który sprowadził całą różnorodność istot żywych do jedności pochodzenia.

TEORIA EWOLUCJI A WIARA

W teorii Darwina znaleźli materialistyczni filozofowie i przyrodnicy XIX wieku broń przeciw religii. Rozpoczęła się zażarta walka, w której po obu stronach barykady walczono z zaciętością i uporem, nie zdając sobie sprawy z tego, że walczono fałszywą bronią, godząc nie w przeciwnika rzeczywistego, ale we wroga wyimaginowanego. Agnostycy lub też jawni wrogowie religii sądzili, że głosząc teorię ewolucji, usuwają Boga z przyrody. Nawet dziś jeszcze, pisze Darlington, że ze świata „Opatrzność i celowość zostały przeważnie usunięte" (The New Scientist, 84, 255), a Sir Gavin Beer z British Museum głosi w odczycie radiowym, że fakty naukowe zaprzeczają tekstom objawionym (The Listener, 3.7.1958, str. 12).

Z drugiej strony apologetycy, zaczynając od Wilberforce'a, anglikańskiego biskupa Oksfordu, w 1859, aż po dzisiejszych korespondentów „Catholic Herald" i „Universe", sądzą, że — wykazując niewątpliwe słabe strony i niedociągnięcia teorii ewolucji — bronią religii.

Jedni przeważnie nie wiedzą, a drudzy zapominają, że „wiele atrybutów Boskich objawia się równie dobrze w prawach przyrody, jak i w wyjątkach od tych praw" (John L. Russell, S.J., „The Theory of Evolution" The Month, styczeń 1956), i że „istotne i ważne jest to, co Bóg zamierzał stworzyć... Wybrał On do tego celu te środki, jakie uznał za najbardziej celowe dla Swego zamiaru... Nie mamy więc powodu się niepokoić, jeśli środkami tymi były zwykłe prawa przyrody". Słusznie powiada anglikański biskup Wand („The Sunday Times", 27.7.1958), że tam, gdzie przyrodnik (Sir Julian Huxley, „The Sunday Times", 13.7.1958) widzi tylko „czynnik porządkujący", który „bezładny materiał, dostarczony przez przypadek... przekształca w uporządkowany system", chrześcijanin uznaje mechanizm, który kieruje biegiem ewolucji, za objaw Boskiej myśli, wiodącej świat ku dobremu celowi.

U człowieka wierzącego nie jest istotne dla jego wiary pytanie, czy Bóg obdarzył przyrodę takimi właciwościami, że na skutek przez Niego ustanowionych praw jedne gatunki przekształcają się w drugie, ewoluując w kierunku przez Niego ustalonym, czy też w poszczególnych fazach tej ewolucji następuje Boska interwencja. Wspomnijmy tu nawiasowo, że nawet zagadnienie pochodzenia ciała człowieka jest z punktu widzenia wiary zupełnie obojętne. Wiemy wszak, że duszy nie dziedziczymy ani w chromosomach, ani w genach. Obdarzenie rodzącego się człowieka duszą jest Boskim aktem tworzenia. Cóż więc za różnica, czy tego aktu stworzenia pierwszych rodziców dokonał Bóg posługując się ad hoc stworzonym ciałem, czy też ciałem, które do tego celu przygotował przez Siebie ustanowionymi drogami ewolucji?

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzymy na teorię ewolucji, będziemy mogli powiedzieć, że poglądy nasze mogą być całkowicie bezstronne (w granicach, w jakich człowiek w ogóle może być bezstronny). I to właśnie jest naszą przewagą nad agnostykami, którzy ciągle obawiają się, że obalenie takich czy innych tez obecnie przyjętych teoryj, takie czy inne objaśnienia mechanizmu ewolucji, wprowadza tylnymi drzwiami do przyrody Boga, którego — jak im się wydaje — zdołali oni usunąć.

Starajmy się nieuprzedzonym umysłem, w pełnym zrozumieniu faktu, że celem wszelkiej nauki jest prawda (która, jak każda prawda, zbliża nas do Prawdy Najwyższej, do Boga), rozpatrzyć problem ewolucji, tak jak on dzisiaj się przedstawia.

Należy tu rozróżnić trzy zagadnienia: słownictwa (semantyczne), ewolucji w ścisłym tego słowa znaczeniu (transformizmu) i mechanizmu ewolucji.

ZAGADNIENIE SEMANTYCZNE

Słowo „ewolucja" jest jednym z najbardziej nadużywanych słów. Poza ewolucją w ścisłym tego słowa znaczeniu, ewolucją gatunków, mówimy np. o ewolucji gwiazd, ewolucji techniki, ewolucji języka, czy też ewolucji urządzeń społecznych, choć za każdym razem mówimy o innym zjawisku, odrębnymi rządzącym się prawami. Jeśli więc niektórzy przyrodnicy, stosując to szerokie pojęcie słowa ewolucja, z namaszczeniem mówią, że „ewolucja jest zasadniczym prawem przyrody", to w gruncie rzeczy nie obwieszczają niczego więcej, niż to, co już przeszło dwa tysiące lat temu określało greckie „panta rei", czyli zasada, że zmienność jest istotą przyrody.

— A gdzie on teraz będzie?

— Dziś na sitio. A jutro tam, gdzie go poślą, gdzie potrzeba. Zdaje się do Rio.

— To może zobaczymy go w Rio?

— Wątpię.

No pewno, że nie. Żeby się nie wiem jak biegało po kościołach i favelach Rio, czy można uchwycić świetlisty promień?

Nowoczesne bloki wchłaniają mieszkańców faveli. Prawdziwa własna kuchnia, prysznic, wielki Boże! Niestrudzony biskup Dom Helder nie ustaje w lokowaniu rodzin — ale mieszkania dla pół miliona ludzi, to nie lada zadanie. Rosną wielkie domy, znikają walące się budy. Czy rzeczywiście do 1966 roku nie będzie już w Rio sławnych faveli? A czy w Sao Paulo zamieszkają we wzorowych domkach wszystkie rodziny na Presidenti Altino?

To tylko miraże. Ambitne plany.

Może.

Nie jest jednak mirażem życie Męczennika Pustyni, ani Małej Siostry, ani Padre, ani doktora Hugo, ani domek na Vila Madalena. Malutka, ciemna Camilla, William na plebanii i lnianowłosa Klara rosną w klimacie gorących serc, nasiąkają życzliwością, dusze ich otwierają się na ciepły prąd miłości, dzięki któremu wiele słów staje się ciałem — nawet jeśli tego nie widzimy.

Nie umiemy zobaczyć gór, przenoszonych przez Wiarę. I nie umiemy zaufać „małej niepozornej dziewczynce, która sama jedna przemierzy wzburzone światy*), raczej przywykliśmy ją nazywać „matką głupich", jakby na potwierdzenie tej zapomnianej a jedynie prawdziwej mądrości, przykazującej Nadziei opiekę nad szaleńcami Bożymi, po Pawłowemu „głupimi dla Chrystusa".

Ale z trojga — Wiary, Nadziei Miłości — większa jest Miłość. Potrafi podporządkować sobie pomocników, niezależnie od Wiary i czasem jakby wbrew Nadziei, aby — może nieraz bezwiednie — przewodzili jej prąd. Zaczyna się od współudziału ich telefonów, rowerów, mieszkań, prymitywnych samochodzików (i limuzyny nieraz się trafiają!) — a z każdym dniem wzrasta współudział serc. Przewodząc prąd miłości, rozgrzewają się i wtedy tajemnicza alchemia przetwarza pustą, mieniącą się odbitym blaskiem bańkę mydlaną, którą uchwycić każdy człowiek darmo usiłuje, na perłę wielkiej ceny.

Posiadają ją ci, którzy za ojcem de Foucauld „krzyczą Ewangelię całym życiem", gotowi „wędrować na krańce ziemi i żyć do skończenia świata".

Ewa Gieratowa

*) Charles Peguy: „Le Porche du Mystère de la Deuxieme Vertu".

Wieloznaczność słownictwa jest zawsze szkodliwa w nauce, gdyż skłania podświadomie, lub często nawet świadomie, do identyfikowania zjawisk, w zasadzie odmiennych, choć wspólną określanych nazwą. Klasycznym przykładem może tu być Sir Gavin de Beer, który w pogadance radiowej (The Listener, 3.7.1958, str. 11 i 12) twierdzi, że „jeśli ewolucja jest techniką tworzenia... to jest rzeczą uprawnioną rozważać przeniesienie tej zasady i do przyrody w okresie zanim pojawiło się życie, (pre-living stage) i pytać, czy nie musiała istnieć jakaś ewolucja, która przemieniła drobiny w amebę". W innym zaś miejscu głosi on, że „jakkolwiek byłoby zarozumialstwem twierdzić, jakoby zagadnienie pochodzenia moralności zostało rozwiązane, to jednak trzeba czynić w tym kierunku wysiłek, jeśli prawdą jest, że ewolucja jest techniką tworzenia". Julian Huxley („The Sunday Times", 13.7.1958) bez cienia dowodu, bez uświadamiania sobie, że mówi o zupełnie innym zagadnieniu, sprowadza rozwój umysłowości ludzkiej do „ewolucji" i doboru naturalnego, choć łaskawie przyznaje, że z chwilą, gdy człowiek uświadomił sobie prawa ewolucji, może obecnie ewolucję własnego rodzaju ująć w swoje ręce.

Przede wszystkim należy zwrócić uwagę, jak biegła ta przemiana drobiny martwej w rozumowania. Co powiedzielibyśmy o fizyku, który by z całą powagą twierdził, że „skoro prawo ciążenia jest zasadniczym prawem przyrody, wszystkie zjawiska elektryczne i atomowe muszą się dać sprowadzić do praw ciążenia"? Tego rodzaju przesłanka może być podstawą dążenia do unifikacyjnych praw, jak to miało miejsce w nieudanych próbach Einsteina i Heisenberga, ale na pewno nie jest dowodem naukowym. Nauka bowiem, jak zresztą słusznie twierdzi tenże de Beer, opiera się wyłącznie na faktach. „Nullius in verba", jak głosi motto londyńskiego „Royal Society".

Aby więc stosować prawa ewolucji gatunków do rozwoju umysłowości ludzkiej, czy też moralności, trzeba by wpierw udowodnić, że umysł człowieka daje się sprowadzić wyłącznie do fizjologii jego mózgu, a moralność rozwija się wedle praw doboru naturalnego. Dotąd nikomu dowód taki się nie udał, na odwrót, coraz liczniejsze są fakty, które tym teoriom przeczą. Co zaś do pochodzenia życia na ziemi, to choć mamy dziś wiele już teoryj, które starają się wyjaśnić, jak biegła ta przemiana drobiny martwej w istotę żywą, wszystkie one mają wspólną cechę, która czyni je mało wartościowymi: wychodząc z prawie że zupełnej niewiadomości, jak wyglądały ongiś warunki fizyczne na ziemi, idą ku swemu wnioskowi długim szeregiem zupełnie dowolnych hipotez, z których żadna nie ma dotąd doświadczalnego potwierdzenia. Są więc czystą spekulacją, „scholastyką", jakby powiedzieli marksiści. A do tego zaś przypuszczenie, że coś być mogło, bynajmniej nie świadczy o tym że być musiało. Przekonali się o tym biologowie, gdy poczęli stosować izotopy promieniotwórcze do badania procesów fizjologicznych. Okazało się, że najbardziej zdawałoby się zrozumiałe procesy przebiegają w rzeczywistości zupełnie inaczej niż to objaśniały przytłaczające swą logiką hipotezy. Drogi przyrody są bowiem często zupełnie inne niż drogi logiki ludzkiej.

EWOLUCJA SENSU STRICTO

Jeśli więc odrzucimy, jako nieuzasadnione, owe stosowanie teorii ewolucji poza zakresem opisywanych przez nią zjawisk, a ograniczymy się do ewolucji w ścisłym tego słowa znaczeniu, do ewolucji gatunków, to będziemy musieli stwierdzić, że rozwój nauki potwierdził genialną intuicję Darwina. Nawiasem mówiąc, wbrew materialistycznemu poglądowi na świat, wbrew epistemologicznym teoriom logicznego pozytywizmu, intuicja gra w rozwoju nauki decydującą rolę. Choć więc teoria Darwina w chwili jej wygłoszenia była pełna luk, niedomówień, ba nawet wewnętrznych sprzeczności, rozwój nauki w ciągu stu lat wykrył wielką ilość faktów, które zgadzają się z jej tezami a tym samym ją potwierdzają.

W wielu wypadkach mamy już doskonale poznane linie rozwoju od rodzajów mniej wyspecjalizowanych do bardziej wyspecjalizowanych, ilość wykopalisk tak liczna, że niejako na naszych oczach jeden rodzaj stopniowo przechodzi w drugi.

Z drugiej strony jednak często mamy jedynie kilka okazów, wskazujących na punkty zwrotne, duże luki i wyrwy; niekiedy nawet linie rozwojowe są mocno niekompletne, jak np. w wypadku domniemanej ewolucji człowieka, która przypomina drzewo genealogiczne, gdzie między przypuszczalnym i mocno sprzecznym praszczurem, a jego ostatnim potomkiem, nie ma ani jednego, powtarzam, ani jednego ojca, dziada, czy pradziada, a miejsce ich zastępuje garstka wujów i ciotek na bocznych liniach. Trzeba zaiste być człowiekiem mocnej wiary, aby uważać to za „dowód naukowy". Mamy wreszcie przykłady ewolucji wstecznej, sprzeczne z normalnymi prawami ewolucji.

W tych warunkach trudno twierdzić, aby ewolucja była niezaprzeczalnym prawem przyrody, w które wątpić może jedynie oryginał, albo nieuk, jak to sądzi wielu biologów z Julianem Huxleyem na czele. Jest ona jednak hipotezą, która doskonale tłumaczy większość faktów, jakie co dzień przynosi paleontologia i fizjologia porównawcza, jest znakomitym narzędziem badań i do tego — co silnie należy podkreślić — hipotezą naukową dzisiaj jedyną.

Twierdzenie, że różnorodność rodzajów zwierząt oraz — z pewnymi zastrzeżeniami — i roślin, jest wynikiem ich kolejnej przemiany od rodzajów niżej ukształtowanych do rodzajów wyżej ukształtowanych, jest obecnie jedyną hipotezą naukową, która wiąże i tłumaczy fakty. Słusznie więc twierdzi wykładowca uniwersytetu w Cambridge, Bernard Towers („The Newman Association, Philosophy of Science Group Bulletin", 31, 16), że „między biologami anty-ewolucjonista w ogólnym tego słowa znaczeniu... jest najrzadszym z rzadkich ptaków", nie ma jednak racji, gdy dodaje: „i choć tolerują go ze względu na jego cenne przyczynki w jakiejś specjalnej gałęzi biologii, jego pogląd na ewolucję przyjmuje się z niecierpliwością". „Niecierpliwość" bowiem, jak autor eufemistycznie nazywa irytację, nie jest dobrą postawą naukową. Wszak przez dwa wieki prawa ruchu Newtona były jedyną hipotezą naukową. Gdy jednak odkryto fakty, które były z nimi sprzeczne, fizycy nie przyjęli ich z „irytacją", ale starali się je wyjaśnić, co doprowadziło do zastąpienia praw Newtona ogólniejszą od nich teorią względności. Ci biologowie, którzy wskazują na niedociągnięcia, luki i sprzeczności w obecnej teorii ewolucji, oddają duże usługi nauce, gdyż zmuszają ją do szukania rozwiązania tych sprzeczności, a więc albo do ponownego potwierdzenia teorii ewolucji, albo też do szukania teorii nowej, bardziej wszechstronnej.

W chwili obecnej jednak teoria taka jeszcze nie zarysowuje się na horyzoncie.

MECHANIZM EWOLUCJI

O ile teoria ewolucji gatunków jest dzisiaj na ogół powszechnie przyjęta, kwestia mechanizmu tej ewolucji jest nadal mocno sporną.

Darwin przyjął jako podstawę ewolucji dobór naturalny. I choć w późniejszym swoim życiu nie bardzo był w tym kierunku konsekwetny, tym niemniej teorię doboru naturalnego łączy się zawsze z jego imieniem. Za czasów Darwina teoria ta była wewnętrznie sprzeczna, gdyż niesposób było pogodzić stałości cech dziedzicznych z przekształcaniem się gatunków. Przy stałości cech dziedzicznych bowiem dobór — naturalny, czy też sztuczny — mógł co najwyżej wyselekcjonować najlepsze w danych warunkach odmiany, nie mógł jednak stworzyć nowych rodzajów.

Wyjściem z tego impasu okazała się z początkiem bieżącego stulecia teoria mutacyj de Vriesa (1900) i jego następców, która darwinowski mechanizm ewolucji sprowadziła do przypadkowych i prawom statystycznym podlegających mutacyj oraz doboru naturalnego, który te bezładne mutacje przemienia w uporządkowany łańcuch przemian. Większość tych mutacyj są to mutacje recesyjne tj. takie, których wpływ ujawnia się dopiero wtedy gdy — dzięki przypadkowi odpowiedniego skojarzenia — pojawi się osobnik, którego oboje rodzice mają tę samą mutację; fakt ten powoduje, że każdy rodzaj zwierzęcy nosi w sobie, w postaci jawnej, lub przeważnie ukrytej, całą szeroką rozmaitość cech. Ta wielopostaciowość, ten polimorfizm pozwala więc, gdy warunki się zmienią, wyselekcjonować tę odmianę, która w tych nowych warunkach ma najlepszą możność przeżycia i tym samym, krok za krokiem, przemienić jeden rodzaj w drugi. Teoria doboru naturalnego i mutacyj ma dziś bardzo wielu zwolenników wśród biologów i genetyków, tak że wielu z nich, jak np. Julian Huxley, uważają ją za podstawowe prawo przyrody, a Sir Ronald Fisher („The Listener", 17.7.1958, str. 87) stanowczo twierdzi, że nie jest ona jedynie „odległą hipotezą, ale cechą właściwą przyrodzie".

Istotnie wiele faktów przemawia za tą teorią. Klasycznym już dziś przykładem są badania, przeprowadzone przez grupę uczonych w Oksford, nad ćmą biston betularia, której ewolucja, od odmiany białej ku odmianie czarnej, w zmienionym otoczeniu zanieczyszczeń przemysłowych, została dokładnie zbadana. Okazało się, że przebiega ona całkowicie zgodnie, tak jakościowo, jak i — co ważniejsze — ilościowo, z teorią mutacyj i doboru naturalnego.

Przykład ten z tryumfem obwieszczany przez zwolenników teorii (którzy zapominają, że jedna jaskółka nie stanowi wiosny) jest niewątpliwie złapaniem ewolucji in flagranti, choć okazuje nam jedynie ewolucję odmian, a nie rodzajów. Analogia jego jednak może w wielu wypadkach uczynić hipotezy pewnego szczegółowego przykładu ewolucji bardziej przekonywującymi, choć brak analizy matematycznej czyni je przeważnie jedynie przypuszczeniami, a nie teorią.

Są jednak i zjawiska sprzeczne z teorią doboru naturalnego. Weźmy choćby podstawowy fakt istnienia polimorfizmu. Wedle teorii doboru naturalnego w sensie ścisłym,

polimorfizm nie powinien by istnieć tam, gdzie pewna cecha jawna stwarza wyraźną korzyść przeżycia, jak to się dzieje np. we wspomnianym wyżej wypadku owej czarnej odmiany ćmy. Weźmy, jako przykład, zbadany przez Caina i Shepparda wypadek pospolitego ślimaka o skorupkach żółto-zielonkawych i brązowych. Ptaki wybierają przede wszystkim takie skorupy, które w danych warunkach są lepiej widoczne, a więc żółte na ciemnym tle, a brązowe na tle zielonym. Skąd jednak bierze się wciąż ta dwubarwność? Przecież po szeregu pokoleń w odpowiednich obszarach powinny by pozostać tylko skorupy o jednym zabarwieniu, lepiej dostosowanym do tła.

Pewnym wyjaśnieniem tej wielopostaciowości są badania Fishera nad ćmą zwaną Scarlat Tiger, której niewielki procent okazów ma zmutowany wygląd, zwany medionigra. Jakkolwiek nie udało się stwierdzić, jakoby ta zmiana wyglądu stanowiła korzyść z punktu widzenia doboru naturalnego, (choć pewne fakty wskazują na to, że tak być musi), to jednak zauważono, że samiczka zmutowanego typu medionigra chętniej parzy się z typem niezmutowanym, utrzymując w ten sposób wielopostaciowość (poliformizm) gatunku. Przypadek? Ale przecież w każdym nieomal rodzaju owadów, ssaków, ptaków, bakteryj, znajdujemy osobniki, odporne przeciw środkom owadobójczym, zarazie wirusowej, pleśni bakteriobójczej. — W wielopostaciowości każdego rodzaju znajdują się osobniki, których geny zawierają mutację, potrzebną do walki z niebezpieczeństwem grożącym istnieniu rodzaju. Trudno sobie wyobrazić, aby poprzedni rozwój gatunku „przewidział" przyszłe niebezpieczeństwa, jakie mu będą grozić, jak np. środki owadobójcze, które człowiek wymyślił i wymyśli w przyszłości. Musi więc istnieć jakiś mechanizm, na razie nam nieznany, który powoduje tę odporność rodzajów na nowe niebezpieczeństwa.

Trudno również doborem naturalnym wyjaśnić pojawienie się pierwszego nerwu, pierwszego organu zdolnego do widzenia, pierwszego aparatu słuchu. Gdy już raz się pojawił, dalszą ewolucję można zrozumieć, choć niewiele dotąd niestety uczyniono, aby mgliste przypuszczenia i wyjaśnienia zastąpić dokładnym śledzeniem linii ewolucji. Jak jednak powstał pierwszy organ? Dopóki nie był on w pełni uformowany, nie dawał żadnej korzyści organizmowi w jego walce o byt, nie miał więc żadnej wartości w myśl teorii doboru naturalnego.

Można wyjaśnić ewolucję — od ryb, reagujących na pola elektryczne, do ryb, wydzielających silne, zabójcze impulsy elektryczności o wysokim napięciu, tak jak to czyni dr Lissman („The New Scientist", 86, 346 i nast.) — choć i tu operuje on jedynie przypuszczeniami. Jak jednak wyjaśnić pojawienie się pierwszej ryby, która miała ten nowy zmysł nie istniejący u innych zwierząt?

Te i podobne pytania są najlepszym dowodem, że teoria doboru naturalnego, choć daje w wielu wypadkach słuszne wyjaśnienie, nie jest ani teorią jedyną ani wszechstronną. Nie dziw więc, że wielu biologów powraca do Lamarcka, oczywiście nie w zwulgaryzowanej Łysjenkowskiej postaci dziedziczenia cech nabytych, ale do ogólnej jego obserwacji, że „powstanie nowego organu w ciele zwierzęcym jest wynikiem nowej konieczności, jaka daje się odczuć". Obserwacja ta nie wyjaśnia procesu, ale wskazuje na zjawisko, które domaga się wyjaśnienia.

Nie dziw więc, że np. Ronald Good („The Listener", 21.11.1957, str. 829-830) szuka wyjaśnienia ewolucji roślin nie w doborze naturalnym (jest rzeczą charakterystyczną — podkreśla on — że nieomal wszystkie przykłady na dobór naturalny są zaczerpnięte ze świata zwierzęcego, a nie roślinnego), ale w ortogenezie, tj. przeświadczeniu, że „ewolucja organizmów następuje systematycznie w określonym kierunku, a nie przypadkowo w wielu kierunkach". A. H. Graham Cannon, członek Royal Society, w wydanej przez Manchester University Press książce „The Evolution of Living Things", rozwija tezę, że wszystkie materiały faktyczne, dotyczące ewolucji zmuszają do przyjęcia „poglądu (o istnieniu) siły w organizmach, która rządzi ewolucją i ją prowadzi, nie poprzez zmiany przypadkowe, ale przez dobrane modyfikacje".

Mechanizm tych sił jest dotąd nieznany, a większość agnostycznych biologów obawia się nawet o nim myśleć, a cóż dopiero go poszukiwać, sądząc, że tą drogą „wprowadzamy znów Boga w przyrodę". Niemniej coraz liczniejsi są dziś biolodzy, którzy wyzwalają się z dotychczasowego dogmatyzmu i poszukują nowych dróg.

***

Streśćmy nasze rozważania:

1. Teoria ewolucji gatunków — transformizm, jest jedyną dziś hipotezą naukową, która tłumaczy fakt różnorodności świata zwierzęcego i roślinnego na ziemi. Choć wiele jej szczegółów jest wciąż nie wyjaśnionych, teoria ta może służyć jako punkt wyjścia do badań nad rozwojem gatunków.

2. Mechanizm ewolucji — mutacje i dobór naturalny — to tylko jedno z wielu możliwych wyjaśnień. Mechanizm ten nie jest ani powszechny, ani nie tłumaczy wszystkich zachodzących w ewolucji zjawisk. Konieczne jest więc poszukiwanie innych teoryj.

3. Nieuzasadnione jest przenoszenie metod ewolucji, a zwłaszcza teoryj doboru naturalnego do innych dziedzin, w szczególności do przemian zachodzących w życiu duchowym człowieka i w stosunkach między ludźmi. Rządzą tam inne prawa, a tym samym konieczne są inne metody ich badania.

4. Takie czy inne teorie ewolucji nie mają żadnego związku z religią, ani też żadnego na nią wpływu. Bóg bowiem rządzi światem zarówno przez prawa przyrody, jakie On ustanowił, jak i przez odstępstwa od tych praw — specjalne akty tworzenia.

Podziwiamy konstruktora, który potrafi zbudować bardzo przemyślną maszynę. Podziw nasz jednak wzrasta, a nie maleje, jeśli maszyna ta pracuje bez interwencji mechanika. Jeśli więc Bóg tak przedziwnie ustanowił prawa przyrody, że samorzutną ewolucją prowadzą one od prymitywnego jednokomórkowca do najwyżej ukształtowanego organizmu — podziw nasz dla Mądrości Bożej jeno się potęguje. I raz jeszcze potwierdzają się słowa psalmisty, że chwalą Boga wszystkie jego stworzenia.

Tadeusz Felsztyn

DR TADEUSZ STARK

Z wizytą u proboszcza w Ars

Postać „Curé d'Ars" nie jest chyba bardzo znana wśród polskich katolików, ale we Francji święty Jan Maria Vianney jest nadzwyczaj popularny, o czym świadczy kilkanaście doskonałych książek, dwa filmy... W przyszłym roku przygotowują się w Ars wielkie uroczystości z powodu stulecia śmierci Świętego (4 sierpnia 1859 r.). Postanowiliśmy zwiedzić Ars już w tym roku.

Miejscowość jest raczej trudna do odnalezienia na mapie, gdyż znajduje się zupełnie na uboczu od głównych szlaków turystycznych na północ od Lyonu. Sama odległość 180 km z Genewy nie przedstawia większej trudności dla jednodniowej wycieczki samochodem, lecz trzeba przy tym przekroczyć cztery pasma gór Jury, które oddzielają Szwajcarię od tej części Francji. Droga uciążliwa wije się serpentynami; śliczne widoki przypominają Beskidy.

W Bourg, które jest stolicą prowincji Bresse, znanej z hodowli drobiu („poulet de Bresse") warto zwiedzić po drodze wspaniałą katedrę, która dominuje nad miastem. Stamtąd prosta szosa asfaltowa doprowadza do Villars-en-Dombes, skąd już tylko kilkanaście kilometrów bocznej drogi do Ars.

PRZESZŁOŚĆ MÓWI...

Turystę uderza prostota i ubóstwo; domki małe, choć murowane, kilka prymitywnych sklepów; kilka hotelików dla pobożnych turystów. Sprzedawców „kupczących przed świątynią" — na szczęście zaledwie trzech czy czterech.

Wśród domeczków „najuboższej wsi Francji" wznosi się olbrzymia barokowa bazylika, zbudowana na życzenie proboszcza z Ars i poświęcona św. Filomenie, na ogół mało znanej Świętej. Św. Jan Vianney otaczał ją specjalną czcią i cudowne łaski przypisywał „swej małej Świętej". Dawny ubogi kościołek proboszcza Vianney zachowany jest na wewnątrz bez zmian i stanowi przedsionek do wspaniałej bazyliki. Wnętrze zajmuje powierzchnię zaledwo 20 m na 5 m. Kaplice, poświęcone św. Michałowi, św. Janowi Chrzcielowi, św. Filomenie i Matce Bożej, pozostały jak przed stu laty; zdobią je rzędy kul i setki tabliczek ex-voto dziękujących za uzdrowienie lub łaski otrzymane za wstawiennictwem proboszcza z Ars. Stoi jak dawniej cudowna figura Matki Boskiej, u stóp której odprawiał co sobota Mszę świętą. Jest i skromna kazalnica, z której głosił każdej niedzieli kazania. Przemawiał z niej również i słynny Lacordaire, odwiedziwszy ks. Vianney.

Zakrystia jest szczytem prostoty; pokazują w niej konfesjonał, w którym całymi godzinami, we dnie i w nocy, ks. Vianney słuchał spowiedzi, osobno mężczyzn, osobno kobiety. Ileż dusz znalazło w tym miejscu prawdziwą wiarę i nadzieję! W zakrystii ukazała się Świętemu kilkakrotnie Matka Boska. Tutaj przynoszono mu medaliki do poświęcenia, spośród których nieomylnie odłączał przedłożone przez ludzi niegodnych (gdy np. medalik był komuś skradziony).

Przez prezbiterium dawnego kościółka, skąd usunięto wielki ołtarz (umieszczony w jednej z kaplic), przechodzi się dziś do głównej bazyliki. W lewej nawie jest szklany sarkofag, a w nim ciało Proboszcza nie zmienione od stu lat.

Tuż obok dawnego kościółka stoi mały domek jednopiętrowy, który stanowił probostwo. Odnowiony z zewnątrz, zachował wszystkie trzy pokoje tak jak były one umeblowane za życia Świętego. Zwiedzający czuje się przejęty pierwiastkiem nadnaturalności i cudowności związanym z każdym niemal przedmiotem tu pokazywanym. Oto alabastrowy krucyfiks, z którego Chrystus przemawiał do Proboszcza. Oto łóżko, które diabeł podpalił, mszcząc się za nawróconych grzeszników. Oto łyżka stołowa, którą św. Vianney pomnożył w sposób cudowny jedzenie, rozdając je sierotom zagrożonym głodem. Oglądamy jego narzędzia pokuty, jak łańcuch, którym biczował się za grzeszników (ślady krwi na ścianie do dziś są widoczne). Na stole leży brewiarz, a obok kapelusz, parasol i buty, tak jakby za chwilę Proboszcz miał wrócić do pokoju i wyruszyć na odwiedziny parafian. W kącie klęcznik: zachowane też są obrazy, a nawet kalendarze z roku 1853 i 1856, które wisiały na ścianach za jego życia.

„PROVIDENCE"

Sierociniec tej nazwy, który odgrywał taką rolę w życiu Świętego, istnieje jak dawniej, choć jest teraz znacznie powiększony. Siostry pokazują w nim cudowne ciasto, które z drobnej garstki urosło do olbrzymich rozmiarów i wystarczyło na upieczenie dwunastu dziesięciokilowych bochnów chleba. Strych, na którym pomnożone zostały w sposób cudowny ziarna, już dziś nie istnieje.

Obok bazyliki, w kaplicy ze statuą klęczącego świętego Proboszcza, przechowywane jest jego serce. „Święty Proboszczu z Ars, chroń Głowę Kościoła i wszystkich proboszczów świata" — głosi napis.

W bezpośrednim sąsiedztwie pokazują nam pomnik, na którym widzimy Proboszcza w rozmowie z pasterzem. To ten pasterz, który mu wskazał drogę do Ars i któremu Święty przyrzekł wskazać drogę do nieba.

Dla turystów wyświetlany jest w niedziele film o życiu ks. Vianney. We wsi jest również „diorama" z dokładną rekonstrukcją wsi tak jak wyglądała, kiedy po niej chodził jej święty Proboszcz.

APOSTOŁ NADZIEI

Prawdziwie głębokie i niezatarte wrażenie wywołują te ciągle żywe pamiątki, świadczące o wszechobecności Boga na świecie.

Proboszcz Vianney żył w wieku, który nazwano „beznadziejnym". Podjął walkę z szatanem, z jego usiłowaniami wymazania imienia Boga z dusz ludzkich, pozbawienia ludzi wiary w miłosierdzie Boże. Zwycięstwo przez Proboszcza odniesione jest tryumfem nadziei, a on sam nadziei apostołem.

Rozpoczął w ciężkich warunkach. Zdolny nie był. Wiemy, jakie przeszkody musiał pokonywać, aby zostać księdzem i z jakim trudem składał każdy egzamin. Ale składał je i to były pierwsze przezwycięzenia, jakie miał za sobą w okresie, gdy biskup uznawszy go za „niedojrzałego" odmówił mu z początku prawa słuchania spowiedzi.

W latach 1815-1840, kiedy we Francji rozszalała kampania antyreligijna, ks. Vianney prowadził swoją walkę o dusze, występując przeciwko oschłości serc i próżni religijnej, przeciw egoizmowi i nienawiści. Własne samozaparcie i pokutę przeciwstawił gwałceniu niedzieli i grzechom rozpusty. Odwiedzając rodzinę po rodzinie, rozgrzewając w miłości i wierze pojedyńcze dusze, burzył dookoła mur obojętności.

Od cudownego uzdrowienia Proboszcza z Ars przez św. Filomenę (1843) aż do jego śmierci (1859) ciągnie się bez przerwy okres cudów i jasnowidzeń, okres otwartej walki z szatanem, który nie pozwala mu spać nocami, zrzuca go z łóżka, podpala pokój i wali młotem w okiennice. Ks. Vianney czyta w duszach bliźnich jak w otwartych książkach; poznaje z daleka grzeszników potrzebujących najbardziej i najpilniej jego pomocy, przywołuje ich do konfesjonału i spowiada przed innymi, przypominając im nieraz grzechy, które woleli zataić. Uzdrawia chorych, pomnaża w sposób cudowny chleb czy ziarna przeznaczone dla sierot w „Providence". Odrzuca pokusy szatana, który usiłuje go namówić, by porzucił parafię, trwa w niej do końca swych dni. Umiera w spokoju ducha, świadom tego, że jego „mała Święta" czuwała przy nim do ostatka.

AKTUALNY ŚWIĘTY

Nauki, jakich nam udziela zwiedzenie Ars, odnoszą się bardziej jeszcze do naszych czasów niż do wieku XIX. Zostają z nami słowa świętego Proboszcza:

„Jakże piękną i wielką rzeczą jest poznać Boga, kochać Go i służyć Mu. Na tym świecie jedynie tylko to jest naszym zadaniem. Wszystko, co jest poza tym, to stracony czas!"

Posłuchajmy autora świeżo wydanej książki o Proboszczu z Ars, napisanej przez Jean de Fabregues pod tytułem „L'Apôtre du Siècle désespéré:

„W Ars skromny człowiek bez żadnych materialnych środków i którego nikt nie brał na serio, wziął sam na serio jedno: to co jest wyłącznie konieczne. Trzymał się z dala od ludzi, ale ludzie przyszli sami do niego gromadą i łowił dusze masami. Nie starał się o nic innego, jak o swoją małą wieś, ale stał się świadkiem i przykładem dla całego świata. Żył na granicy beznadziejności i przyniósł nam wspaniałe świadectwo nadziei. Był najbardziej samotny, najbardziej ukryty, a wzruszył tłumy, gdyż był kapłanem Chrystusa".

W sierpniu przyszłego roku maleńka wioska Ars zaroi się tłumami. Zapewne nie zbraknie wśród nich także i Polaków.

Tadeusz Stark



ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

I

NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH

Sporo mówi się dzisiaj o rozkwicie poezji krajowej. Rozkwit ten, o ile można użyć tego terminu w odniesieniu do niewątpliwie bujnej twórczości poetyckiej w Kraju, w swoich początkach zahamowany polityką literatury kierowanej, uzewnętrznił się w pełni dopiero po Październiku. Wiersze pisane przedtem, a nic sobie nie robiące z obowiązujących kanonów, miały bardzo nikłe szanse na ukazanie się w druku. Stąd, kiedy idąc za głosem zdrowego rozsądku wyklęto socrealizm i drętwą mowę, natychmiast ujawniły się wiersze pisane dotąd do szuflady i zaczęły ukazywać się tomiki poetów dotychczas przemilczanych. Okazało się raz jeszcze, że kłamstwo istotnie ma krótkie nogi. Jego zwycięstwo jest zazwyczaj pozorne i wbrew temu, co zwykli mniemać ludzie małej wiary, krótkotrwałe. Na przykładzie stosunków panujących w literaturze polskiej minionego okresu widać jak na dłoni cały ten dramat. Kłamstwo padło, zwyciężyła poezja, która nie czerpie natchnienia z kas partyjnych ani oficjalnych „ideologii". Planistom literatury zawdzięczamy jednak coś niecoś. Ich koncepcje oraz metody nie tylko zabiły socrealizm. Zabiły wszelką poezję państwowo-twórczą. I chwała Bogu. Nie prędko, mamy nadzieję, znajdą się młodzi Polacy, którzy zechcą własnym sercem wystrzelić na wiwat ku chwale Ojczyzny. I to pociesza. Za dużo bowiem było w polskiej literaturze ojczyzny a za mało człowieka.

Odwilż w literaturze nie tylko pozwoliła odetchnąć starszym poetom. Młodych uratowała od spaczenia charakteru i sparaliżowania wyobraźni. Młodzi debiutanci nie muszą już pisać grzecznych wypracowań na zadany temat, dowodząc domniemanej wyższości komunizmu, pomstując na jego wrogów, chwaląc Partię i Związek Radziecki etc. Zarzucenie socrealizmu i drętwej mowy nie tylko wyzwoliło wyobraźnię poetów, zdjęło również opaskę milczenia i pozwoliło mówić o sprawach dotąd wstydliwie, haniebnie przemilczanych. Rozpoczyna się więc proces odkłamywania życia w Polsce, gniewnego rozrachunku z niedawną przeszłością. Literaturę tego typu zapoczątkował chyba „Poemat dla dorosłych" Ważyka, kontynuował „Gorący popiół" Jastruna, oraz utwory innych poetów starszej generacji.

Nasze rozważania odnosić się będą do twórczości tych młodych poetów, którzy wystartowali po wojnie lub w czasie wojny. Ponieważ znajomość młodej poezji krajowej jest na ogół nikła na emigracji, przyjęliśmy metodę sylwetek indywidualnych, obficie zaopatrzonych w cytaty, które być może przybliżą problematykę i ułatwią orientację, nim przystąpimy do wyciągnięcia bardziej ogólnych wniosków w zakończeniu cyklu.

Chcielibyśmy jeszcze zaznaczyć, że uwagi nasze nie pretendują do tzw. obiektywizmu czy naukowości. Każdy wyrażony sąd jest naszym sądem, sformułowanym na podstawie lektury tekstu. Będziemy notować nasze wrażenia i odczucia, powstające pod wpływem tej lektury, bez żadnych z góry przyjętych założeń. Będziemy szukać pod powłoką słów tych treści i znaczeń, które składając się na problematykę naszych czasów pozostają także w ścisłym związku z dolą człowieka niezmienną od zarania dziejów aż po dzień dzisiejszy. Stąd niewiele tu będzie zdań dotyczących formalnej strony utworu poetyckiego, jaki ukazał się na literackiej scenie w Kraju. Raczej interesować nas będzie jego ładunek intelektualny, zmiany, jakie zaszły w odczuwaniu, wrażliwości poety, który na marginesie swojego osobistego losu spisuje liryczny diariusz naszych czasów, mówięc za siebie i za tych, którzy mówić nie mogą lub nie potrafią. Nie mamy zamiaru rozdawać wieńców poetyckich, ani książkowych nagród pocieszenia. Ustawianie poetów według wzrostu jest symplifikacją, która jest dowodem prostactwa umysłowego. Poeci nie są porównywalni. Chodzi o to żeby byli poetami. Nie chcemy ani koronować ani wyklinać. Chcemy mówić o ich twórczości swobodnym tonem nie obarczonym uprzedzeniami, erudycją, aparaturą naukową, względami osobistymi etc.

Nieraz słyszy się głosy uskarżające się na to, że ciągle się pisze o tych, o których i tak już głośno, podczas gdy przemilczani i pomijani nadal pozostają w niezasłużonym cieniu. Jesteśmy całym sercem po ich stronie. Ale nie można pisać o czymś, czego się nie widziało i nie przeczytało. Być może w szufladach przemilczanych i nie drukowanych poetów w Kraju znajduje się arcydzieło. Jesteśmy skłonni wierzyć, że tak jest w istocie. Ale pisać o tym nie możemy ze względów oczywistych. Musimy z konieczności ograniczyć się do tych, którzy ogłosili drukiem przynajmniej jeden tom wierszy, a i tu selekcja okazała się konieczna. Do wyboru poetów, których tu będziemy przedstawiać nie należy jednak przywiązywać innego znaczenia ponad to, że zaciekawili oni nas bardziej niz inni. Trzeba także wziąć pod uwagę, że nie wszystkie wydawnictwa krajowe były nam dostępne. W konsekwencji więc, wybraliśmy to, co wydawało nam się najciekawsze i typowe z tych publikacji, jakie udało się zebrać w Londynie. O ostatecznej selekcji dostępnych nam materiałów decydował więc sąd i smak nasz własny.

Na zakończenie tego wstępu, chcielibyśmy jeszcze raz podkreślić, że nie chodzi tu o formułowanie tezy obejmującej całość zjawiska poezji krajowej, ale o próbę bliższego z nią zapoznania się, albowiem zasługuje na to i z uwagi na osiągnięcia i ze względu na to co przekazuje uważnemu czytelnikowi. — Aczkolwiek wstęp jest wspólny, poszczególne sylwetki są opracowane osobno i odpowiednio znaczone inicjałami.

BOGDAN DROZDOWSKI

W grupie tych młodych poetów, którzy uwierzywszy w komunizm opowiedzieli się po stronie Partii, a potem przeżyli swego rodzaju dramat, ciekawie rysuje się sylwetka Bogdana Drozdowskiego. Ten znany publicysta krakowskiego „Życia Literackiego“ wydał tom wierszy w Wydawnictwie Literackim p.t. „Jest takie drzewo“ (1956 r.). W tomie tym znalazły się wiersze pisane w latach 1950-1955. Z lektury ich nie trudno się domyślić dlaczego tom nie ukazał się wcześniej. Trzeba zaznaczyć, że Drozdowski, jakkolwiek publicznie zaangażowany po stronie komunizmu, nie figuruje w oficjalnej Antologii polskiej poezji ludowej, jaka ukazała się w 1955 roku w opracowaniu Matuszewskiego i Pollaka.

Drozdowski, jak i wielu jego rówieśników, uwierzył w komunizm. Okropności stalinizmu rychło wzbudziły w nim szereg wątpliwości i zastrzeżeń, które z czasem przerodziły się w gorycz, rozczarowanie i niechęć do obłudnych poczynań oficjalnych czynników partyjnych. Jakkolwiek są podobieństwa pomiędzy t.zw. grupą pryszczatych, a Drozdowskim, który z nimi sympatyzował, to jednak nie należy on do nich ani poetycko ani światopoglądowo. Co prawda sporo jest w jego twórczości akcentów publicystycznych, które w wielu wypadkach kompromitują poezję, ale jednak, jak z lektury tomu wynika, Drozdowski nie uprawiał na zimno pochwały komunizmu, lecz zupełnie szczerze, choć naiwnie, spodziewał się realizacji tego, co on na papierze głosi. Stąd skala jego gniewu jest inna, stąd oburzenie jego nie jest koniunkturalną zmianą frontu, zręcznym przystosowaniem do zmienionych warunków.

Wszystko może się wydać, zwłaszcza dla tych, którzy poezji Drozdowskiego nie znają, jakąś niesmaczną propagandą anty, naciąganiem literatury dla celów politycznych. Lektura tomu powinna jednak przekonać ich, że jest inaczej. Poezja Drozdowskiego jest po uszy zaangażowana w społeczno-polityczną problematykę Polski powojennej. Jest to równocześnie jej siła i jej słabość. Siła, bo na tym odcinku talent Drozdowskiego i jego wrażliwość znajdują pełną możliwość wypowiedzi tego wszystkiego co go do głębi obchodzi, i tu także trzeba odnotować niewątpliwie sukcesy tej poezji. Słabość, bo tą drogą wprowadza akcenty publicystyczne, prozaizmy, banały, których trudno jest uniknąć tam, gdzie zamiast pamfletu politycznego pisze się wiersz, usiłując upoetycznić problematykę chadzającą innymi drogami niż to jest w zwyczaju poezji.

Główny atak Drozdowskiego, jeżeli można się tak wyrazić, idzie w kierunku obrony człowieka przed niwelującym działaniem kolektywu, kolektywu, który myślących i czujących ludzi zamienia w bezmyślne, otępiałe owady. Najlepiej to widać na przykładzie wiersza „Pokaz gimnastyczny“, który otwiera tom. Wiersz składa się z dwóch części, „dwóch spojrzeń“, i jest zbudowany na zasadzie: teza-antyteza. „Spojrzenie pierwsze“ sławi zdyscyplinowaną, zgrabną, geometryczną gromadę, jej rozmach i piękno.

„Dziesięć tysięcy ludzi
jeden ruch
jedna myśl
jedno olbrzymie ciało

. . . .

Ach
powiadam ci
gromady są piękne

Czyż jeden człowiek miałby jakiś sens
na ogromnym półmisku stadionu?“

„Spojrzenie drugie“ wprowadza nieodzowną korektę, która jest miażdżąca:

„Patrz
dziesięć tysięcy ludzi
i ani jednej twarzy

. . . .

I cóż z tego że
tworzą gwiazdy i prostokąty
żaden z nich nie istnieje

. . . .

Wolę samotnego człowieka

. . . .

mogę doń podejść i rzec
witaj bracie..“

Walka o prawo do inności, do własnej twarzy, znajduje swoje odbicie także i w innych wierszach Drozdowskiego. Czasem przewija się w nich lęk przed anonimowym tłumem, przed wtopieniem się w masę, przed kompletną zagładą osobowości. W wierszu „Straszne niespołeczne stanowisko“ autor klaszcze gdy widzi „tłum podnoszący piętra jak zabawki“, ale boi się „roztopić w nim jak łza wśród kropel deszczu.“ W wierszu „O parkiecie“ snując smętne rozważania na temat prostackiej wiary komunistów, że wszystkich można poukładać w zaplanowany z góry wzór, pisze:

„Niektórzy myślą
że ludzie są jak deseczki
można ich ułożyć

. . . .

Jeśli trafi się w desce sęk
wyrzucają deskę
a jam taki sękaty sękaty.“

Ten instynktowny lęk przed utratą własnego oblicza, własnej sękatej duszy, a równocześnie miłość do człowieka poniewieranego w imię fałszywych teorii dyktują Drozdowskiemu gorzkie słowa, które kieruje zarówni do towarzyszy partyjnych („List do towarzyszy z K.C.“) jak i do tych wszystkich, którzy są odpowiedzialni za obecny stan rzeczy na świecie („Myślą, że są Atlasami“).

Poezję Drozdowskiego określono w Kraju jako głos społecznego sumienia. Ale to tylko jeden aspekt. Oprócz tego znajduje się w niej odbicie konfliktu wewnętrznego poety, rozdarcia pomiędzy miłością do krzywdzonego człowieka a lojalnością partyjną, stopniowe przecieranie oczu człowieka olśnionego teorią komunizmu i nie umiejącego pozbyć się złudzeń mimo bolesnych dowodów, że ukochany „ideał“ stwarza piekło dla tych właśnie, których miał zbawić.

Drozdowski jest więc równocześnie moralistą i aktywistą (lub tylko może cieniem dawnego aktywisty) a szereg jego wierszy robi wrażenie dialogu pomiędzy jednym i drugim. Kiedy jednak głos moralisty jest głosem sumienia, broniącego wartości, które korzeniami tkwią w chrześcijańskiej koncepcji człowieka (o czym Drozdowski zdaje się nie wiedzieć) to głos aktywisty jest głosem niejasnej racji stanu usiłującej rozgrzeszać i usprawiedliwiać, ale bez przekonania. Drozdowski wie bowiem, że przyszły postęp nie usprawiedliwia obecnego barbarzyństwa, że ambitnych planów inwestycyjnych (które z reguły biorą w łeb) nie wolno opłacać nędzą, poniżeniem i podeptaniem ludzkiej godności.

Na pytanie czym jest człowiek, jak świat światem szukano odpowiedzi w filozofii lub religii. Z filozofią widocznie Drozdowski się nie spotkał, bo jedyna obowiązująca tam w minionym okresie była negacją filozoficznego myślenia. Religię odrzucił, o czym pisze zresztą dość naiwnie w wierszu „Powrót“. W konsekwencji, odpowiedź na to kapitalne zagadnienie może dać tylko ponury personalnik ślęczący nad teczkami donosów. W takim świecie żyć nie można. Zrozumiała więc jest tęsknota Drozdowskiego za ładem politycznym, sprawiedliwością społeczną, za prawem do własnych przekonań, wolności osobistej człowieka, za uczciwością w życiu prywatnym i publicznym. Wszystko to jest jasne. Niejasne natomiast jest stanowisko poety, który przeprowadziwszy rachunek sumienia za tych, którzy nabroili i dotąd skruchy nie okazali, raptem wznosi okrzyk (w wierszu „Druga połowa wieku“): „niech żyje socjalizm.“ Socjalizm stał się dzisiaj narzędziem uciemiężenia człowieka, przeciw czemu Drozdowski słusznie się buntuje. Widocznie wciąż jeszcze wierzy w istnienie jakiegoś „czystego“ socjalizmu, który niestety pozostaje nieosiągalną utopią literacką.

W omawianym wyżej tomie nie brak wierszy o tematyce bardziej osobistej. O jednym z nich warto napomknąć, jako że mieści się w nim swoista filozofia życiowa człowieka, który staje bezradny i bezsilny wobec brutalnych faktów, na których istnienie i przebieg żaden z nas nie może mieć wpływu.

W wierszu tym („Moja fajka") autor rejestruje szereg wypadków z kategorii wstrząsających i przeciwstawia im swoją stoicką wobec nich postawę. Wiersz kończy się akcentem wisielczego humoru:

„Żonie brakło pieniędzy na obiad
syn po domu w zdartych lata majtkach

Ja mam tytoń Do fajki nadrobię
Będę kurzył Dobra rzecz ta fajka."

Warto jeszcze zwrócić uwagę na wiersz „Moja Polska" gdzie autor pięknie wspomina zaginionego podczas wojny ojca. W wierszu tym jest strofa, o której słusznie ktoś powiedział, że zawiera kawał historii naszego kraju i dramat wielu tysięcy jego synów:

„Ojcze
. . . . .
gdzie odnajdę proch twoich dłoni
które mnie nie obejmą
których nie ucałuję

W rodzimych błotach Polesia
w zmarzniętej gruni Syberii
w piaskach Iraku czy Libii
na skałach Monte Cassino

Gdzie padłeś?"

(Z.Ł.)

ZBIGNIEW HERBERT

Uniknąć jałowych mielizn socrealizmu i drętwej mowy, i nie popaść w romantyczne rozczulenie nad własnym losem było przywilejem niewielu. Dokonał tego Zbigniew Herbert, którego wyobraźni nie zabiła obowiązująca doktryna, którego sumienia nie znieczulił nagminny oportunizm, a który pozostał wierny prawdzie poetyckiego przeżycia, wierny realiom codziennego życia i marzeniom serc ludzkich, których nędzę i piękno ukochał bardziej niż cokolwiek na świecie.

Urodzony w 1924 roku, debiutował Herbert na łamach Tygodnika Powszechnego w 1950-tym. Dziś jest już on autorem dwóch tomów poezji, „Struna światła" i „Hermes pies i gwiazda", wydanych kolejno w 1956 i 1957 u Czytelnika. Prócz tego publikuje sporo artykułów o malarstwie i literaturze, współpracuje z „Twórczością", gdzie także ogłosił utwór dramatyczny „Jaskinia filozofów" oraz poematy prozą. Oficjalna Antologia polskiej poezji ludowej pomija jego twórczość milczeniem, które w tym wypadku należy uznać za komplement. Ma on jednak swój rozdział w almanachu „...każdej chwili wybierać muszę...", wydanym w 1955 r. przez Pax. Znalazły się tam wiersze poetów o światopoglądzie katolickim, piszących zgodnie ze swoim sumieniem artystycznym, niechętnych totalnym systemom uproszczonego myślenia i odczuwania. Niepopularność takiej postawy w okresie stalinizmu była oczywista. Stąd przez długi czas byli oni skazani na samotne, ciche wędrowanie w cieniu tamtych głośnych, sztandarowych, gotowych pisać pod dyktando i na zamówienie, gorliwie pomagających zapędzać narodowe stado do socjalistycznej zagrody. Dlatego też debiut książkowy Herberta jest spóźniony. Nie pasował on do planów, jakie odnośnie literatury powzięto na szczeblu administracyjnym. Katolicki światopogląd i bezkompromisowy charakter na pewno nie ułatwiał sprawy. Wyrastał więc w odizolowaniu, szukając własnych dróg bez pomocy obłudnych protektorów. Wyczuwał być może między innymi, że wielkości podobnie jak świętości nie zdobywa się na skutek przynależności do takiego czy innego stada, ale drogą odważnej, samotnej walki, rozgrywającej się w duszy człowieka.

Krytyka krajowa przyjęła tom Herberta nader ciepło, zachwycając się dojrzałością debiutu. Powodzenie jego poezji można częściowo wytłumaczyć prawem kontrastu, jakie niewątpliwie grało w tym okresie. Po niebywałej wprost nudzie płaskiej poezji konformistów, wiersze Herberta musiały zrobić karierę. Ale pomijając względy uboczne, przynać trzeba, że tom tych wierszy istotnie jest dowodem niezwyczajnej przy debiutach dojrzałości. Stało się to może właśnie na skutek długiego milczenia, odizolowania, zahamowań zewnętrznych, które w konsekwencji sprzyjały rozwojowi i dojrzewaniu twórczości Herberta. W ten sposób nie tylko ominął on niebezpieczne manowce retoryki politycznej i wątpliwej moralności kompromisu, ale także uniknął banałów, płycizn, sentymentalizmu, nieporadności językowych i klisz, które często kompromitują iuvenilia nawet późniejszych „wielkich".

Następny tom Herberta, „Hermes pies i gwiazda", jest niewątpliwie osobistym sukcesem autora, ale prócz tego jest on także dowodem na to, że w młodej poezji zwycięża nurt awangardowy. (Zwolennicy Skamandra, jeżeli jeszcze są tacy, nie produkują nic godnego uwagi.) Zwycięża także poezja osobistych doznań, nieufna, sceptyczna, wahająca się między zwątpieniem a wiarą, odrzucająca blagę wielkich słów bez pokrycia, poezja która zna i dzieli niepokój szukających prawdy, i ma odwagę prawdzie patrzyć prosto w przerażające nieraz w oczy. Tkwi w niej i przemawia przez nią sceptycyzm pokolenia, które wyrastało i dojrzewało w czasie wojny obserwując dokoła siebie klęskę militarną, upadek autorytetów, bankructwo „ułańskiej ideologii", i wreszcie kruchość, nędzę, rozdarcie pełnej przeciwieństw istoty zwanej człowiekiem.

Niefność i sceptycyzm. Odrzucenie łatwizny myślowej i uczuciowej. Pasja wewnętrzna, ale także hamująca umiejętność trzeźwego widzenia rzeczywistości. W tym pokoleniu nikt nie powtórzy „Ody do młodości". Łatwe uniesienia, fanfary i slogany, orły, sztandary, „nie rzucim", „nie damy", mesjanizm & Co., idee cierpiętnictwa i mocarstwowości, wszystko to poszło do muzeum narodowego wspomnień i pamiątek. Został poeta zamyślony nad pobojowiskiem.

Z tego zamyślenia wykluło się coś, co jest wspólne temu pokoleniu, a co można nazwać nową formułą patriotyzmu. Tradycyjna martyrologia przestała być źródłem patetycznego natchnienia. Ckliwy sentymentalizm i naiwność „ideologicznej krzepy" ustąpiły miejsca trzeźwej ocenie zjawisk. Powrót z kraju głupawych marzeń do realiów życiowych odbył się przy ponurym akompaniamencie walącej się w gruzy Polski przedwrześniowej:

„Dnie były amarantowe
błyszczące jak lanca ułańska

Śpiewano w megafonach
anachroniczną piosenkę
o Polakach i bagnetach
. . . .
Wódz podnosił brwi
jak buławę
skandował: ani guzika
Śmiały się guziki:

Nie damy nie damy chłopców
płasko przyszytych do wrzosowisk"

(„Pożegnanie września", „Struna światła")

Ironiczny ton tego wiersza doskonale odmalowuje zmiany, jakie zaszły w patriotycznym odczuwaniu. Zwolennicy hurrapatriotyzmu z oburzeniem konkludują, że młodzi przestali kochać swój kraj. Ale to nieprawda. Oni go kochają inaczej. Zamiast głupio umierać za ojczyznę, chcą dla niej żyć i budować. Z abstrakcji wrócili do konkretu i dotąd wielu się boryka, bo to niełatwy powrót. O wiele łatwiej jest kochać ojczyznę in abstracto niż znosić cierpliwie konkretne warunki życiowe nie zawsze miłe, często uciążliwe, nieznośne, tak jak o wiele łatwiej i wygodniej jest ukochać ludzkość niż konkretnego człowieka, o którym mowa w drugim przykazaniu.

Kiedy klapnął balon legendy, runęły autorytety. Mit bohaterstwa przestał wywierać fascynujący wpływ na młode umysły:

„Bohaterowie nie wrócili z wyprawy
Nie było bohaterów
Ocaleli niegodni

Szukam posągu
zatopionego w młodości

Pozostał tylko pusty cokół
ślad dłoni szukającej kształtu"

(„Do Apollina", „Struna światła")

Patriotyczna katarakta pieczołowicie hodowana na oczach młodych ustąpiła miejsca ostremu widzeniu prawdy. Nike, symbol ducha zagrzewającego do walki o wolność, chciałaby uścisnąć chłopca idącego szarą koleiną, pośród grud i cierni, wojennym szlakiem, ale waha się. Słodycz pieszczot odebrałaby mu może chęć do walki, zaszczepiłaby tchórzostwo (a może po prostu ukazałaby wartość życia i bezsens niepotrzebnej śmierci?). Nike waha się i zostaje w pozycji, jaką nadali jej rzeźbiarze. Nike wie dobrze:

„że jutro o świcie
muszą znaleźć tego chłopca
z otwartą piersią
zamkniętymi oczyma
z cierpkim obolem ojczyzny
pod drętwym językiem"
(„Nike która się waha", „Struna światła")

Cierpka jest ta ojczyzna, dla której ciągle trzeba umierać, dla której nie można pięknie, twórczo żyć. Tak jak „dulce et decorum est pro patria mori" było hasłem minionych pokoleń, tak „cierpki obol ojczyzny pod drętwym językiem" jest legitymacją nowego patriotyzmu.

Na równi ze zmianą w stosunku młodych do ojczyzny można zauważyć analogiczną zmianę w stosunku do narodu. W tradycyjnej poezji polskiej dramat narodu zajmował pierwsze miejsce, exemplum romantyzm. W poezji nowoczesnej punkt ciężkości przesunął się i słusznie w kierunku dramatu poszczególnych ludzi, szarych ludzi, z których każdy dźwiga swój własny krzyż, kryje w sobie tragiczne powikłania, stara się żyć to życie jak umie najlepiej, tak jak mu na to pozwalają warunki społeczne i polityczne. Zamiast abstraktu ojczyzna, codzienna dola człowieka, bardzo konkretne bóle, troski i zmartwienia konkretnych żywych ludzi. Naród przestał być konglomeratem wodzów, zmarłych bohaterów, weteranów, ministrów etc. Naród, zdaniem Herberta, to ten zwyczajny tłum ludzi i jego ludzkie sprawy, ludzi cierpiących, bitych, poniewieranych często przez swoich i przez obcych, gnanych z miejsca na miejsce jakąś ironią losu, a uparcie niosących swoje życie jak worek nieodstępnych gratów na grzbiecie. To są ci:

„...którzy toczą wózki po źle brukowanym przedmieściu
i uciekają z pożaru z butlą barszczu
którzy wracają na ruiny nie po to by wołać zmarłych
ale żeby odnaleźć rurę żelaznego piecyka
głodzeni — kochający życie
bici w twarz — kochający życie
których trudno nazwać kwiatem
ale są ciałem
. . . .
giną ci
którzy kochają bardziej piękne słowa niż tłuste zapachy
ale jest ich na szczęście niewielu

naród trwa
i wracając z pełnymi workami ze szlaków ucieczki
wznosi łuk triumfalny
dla pięknych umarłych"
(„Substancja", H.P. i G.)

Obok nurtu patriotycznego, który kompletują wiersze przesiąknięte problematyką okropności wojny i jej skutków w ludziach, poezja Herberta zawiera zdumiewające bogactwo tematyczne. Wspomnienia szkolne, intymne erotyki, najzwyczajniejsze rzeczy dnia codziennego sąsiadują tam z refleksją filozoficzną, traktatem o aniołach i wizją końca świata. Jak każdy młody poeta (i chyba jak każdy pisarz, niestety) Herbert zdaje sobie sprawę z niewystarczalności słowa, ze skostnień języka, irytują go stare rekwizyty i klisze, które zaśmiecając wyobraźnię odbierają słowu poetyckiemu jego siłę ewokacyjną, jego świeżość i zdolność przekazywania nowych treści. Stąd jego poezja jest także szukaniem nowych możliwości języka, aby móc opowiedzieć w nowy przekonywujący sposób to co narosło w duszach młodego pokolenia:

„Chciałbym opisać najprostsze wzruszenie
radość lub smutek
ale nie tak jak robią to inni
sięgając po promienie deszczu albo słońca
. . . .
chciałbym opisać męstwo
nie ciągnąc za sobą zakurzonego lwa
a także niepokój
nie potrząsając szklanką pełną wody
inaczej mówiąc
oddam wszystkie przenośnie
za jeden wyraz
wyłuskany z piersi jak żebro
za jedno słowo
które mieści się w granicach mojej skóry."
(„Chciałbym opisać", H.P. i G.)

Ale mimo to, przyjmując nieuniknione ograniczenia językowe, wierzy on w celowość poezji i śpiewając pochwałę poety konkluduje:

„czym byłby świat
gdyby nie napełniała go
nieustanna krzątanina poety
wśród ptaków i kamieni"

Szczęśliwy Herbert! On wierzy jeszcze, że światu potrzebna jest krzątanina poety. Sceptycyzm każe to uznać za miłą naiwność dziecka, które swoimi zabawkami chce zaimponować starszym. Na pytanie czym byłby świat bez poetów odpowiedź jest brutalna: tym samym czym jest dzisiaj. Ilość ludzi piszących, czytających i żyjących poezją jest znikoma w porównaniu z liczbą zwolenników gazet, kina, telewizji, jazzu etc. Bądźmy szczerzy, gdyby raptem przestali istnieć wszyscy poeci, ilu ludzi zauważyłoby ich brak? „Nowy wspaniały świat", milczkiem wznoszony przez niewidzialne ręce, nie przewiduje ludzi zdolnych entuzjazmować się poezją, która ma być wręcz zabroniona. Ludzie mają zapomnieć, że są ludźmi, a pogodzić się z losem termitów, trybów, kółek. Ogrody, w których mieszka poezja dziś przypominają dwie rzeczy: oazy i muzea. Wiersze Herberta są piękne, niesposób temu zaprzeczyć. Ale wiem, że gdybym ofiarował koledze lub koleżance do wyboru tomik Herberta i płytę Armstronga lub bilet na rewię „muzyczną", bez wahania wzięliby Armstronga albo bilet. A im dalej w las tym więcej entuzjastów krzyku i szału niż zwolenników muzyki i myśli.

*

Fanatyków kina, jazzu, wyścigów motocyklowych i piłki nożnej, poezja Herberta chyba nie zainteresuje. Nie zainteresuje także tych wszystkich, którzy w rozwoju swojej wrażliwości zatrzymali się na szczeblu Mickiewicza. Ale tym wszystkim dla których poezja jest niezastąpionym wiernym przyjacielem, można obiecać wiele niespodzianek. Taką niespodzianką jest wiersz o róży. To nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Ten wiersz nie tylko zadowala estetycznie, ale — co więcej, cieszy, raduje, wzrusza. Okazuje się, że stary oklepany temat, zużyta płyta, zdarta klisza, nadają się jako materia poetica pierwszej klasy.

„Słodycz ma imię: róża

Wybuch —
z wnętrza wychodzą
chorążowie purpury
szeregi nieprzeliczone
trębacze zapachów
na długich motylich trąbach
obwołują spełnienie
. . . .
„Nie pytaj czym jest róża Ptak ją może opowie
Zapach zabija myśli twarz lekkim muśnięciem [starta
Kolorze pożądania
kolorze płaczących powiek
Brzemienna kulista słodycz
czerwień do wnętrza rozdarta..."
(„O róży", „Struna światła")

O narodzeniu róży Herbert pisze jak o narodzinach nowego świata. Język filozofii i poezji przeplata się tam dając bogaty nurt lirycznego wzruszenia, odkrywczej radości. To

jest wiersz z kategorii „eye opener", jakby rzekli jankesi. Uczy nas bowiem patrzeć na cudowne zjawisko, które w ślepych przyzwyczajonych oczach dawno cudownym być przestało.

W wierszach Herbeta mieszka bogata erudycja, nigdy jednak nie obciąża ona wiersza zbytecznym materiałem. Starożytna mitologia dyskretnie wpleciona w wiersze traktujące o współczesnych nam sprawach, nie służy za ozdobę ale za ogniwo łączące sprawy, które jakkolwiek działy się w innych czasach, to tym niemniej składają się na ten sam obraz niezmiennej w swojej istocie doli człowieka. Służy ona za bramę, przez którą idzie się np. w głąb zrujnowanej Warszawy („O Troi"), lub w głąb ciemnych spraw naszego wieku. Myliłby się kto by sądził, że mitologia jest tam naiwnym sztukowaniem braków wyobraźni — jak to się nieraz zdarza u młodych. Herbert nie tylko posługuje się nią świadomie i oszczędnie. Wie on również, że ani piękno ani mądrość minionych wieków nie zwalniają nas z odpowiedzialności za dzień dzisiejszy, nie obronią nas przed zalewem współczesnego barbarzyństwa („Do Marka Aurelego").

Filozoficznie rzecz biorąc Herbert jest trochę jakby niewiernym Tomaszem. Nieufność do świata, jego wewnętrzne wahania i wątpliwości serca i umysłu każą mu wszystkiego dotknąć, sprawdzić, odkryć na nowo.

„Nikomu nie przekażesz wiedzy
twój tylko słuch jest i twój dotyk
na nowo każdy musi stworzyć
swą nieskończoność i początek"
(„Kłopoty małego stwórcy", „Struna światła")

Niechęć do skostniałych formuł, do łatwizny ustalonych klasyfikacji, gotowych wzorów myślenia i odczuwania, niepokój wobec rzeczywistości nie uciszony łatwą wymową siwych panów:

„tak się miesza
tak się miesza
we mnie
to co siwi panowie
podzielili raz na zawsze
i powiedzieli
to jest podmiot
a to przedmiot"
(„Chciałbym opisać", H.P. i G.)

Trzeba więc wszystko sprawdzić na sobie. Na słowo, pokolenie Herberta, nie wierzy nikomu. Chodzi więc poeta po świecie bardzo zakochany w tym co może dotknąć, powąchać, zobaczyć, usłyszeć i posmakować. Realia codziennego życia, których się trzeba nauczyć na nowo są źródłem wielu niespodzianek. Odkrywa się po drodze, en passant, zapomniany blask i świetność małych codziennych rzeczy. Niepozorny stołek dębowy pod ręką Herberta staje się cierpliwym osiołkiem, który w konkluzji ma służyć za dowód istnienia rzeczy w ogóle i do którego przemawia się jak następuje:

„— Wiesz mój kochany byli szarlatani
którzy mówili kłamie ręka kłamie
oko kiedy dotyka kształtów co są pustką —

to byli ludzie źli zawistni rzeczom
świat chcieli złowić na wędkę zaprzeczeń"
(„Stołek", „Struna światła")

Ale myliłby się kto by wnioskował, że pięcioksiąg zmysłów wyznacza granice świata poetyckiego Herberta. Świat ducha jest dla niego rzeczywistością nie mniej oczywistą co dębowy stołek:

„Nie mów że to nieprawda że nie ma aniołów
pogrążona w sadzawce leniwego ciała
ty która widzisz wszystko w kolorze swych oczu
i stajesz syta światła na granicy rzęs"
(„Zobacz", „Struna światła")

W świecie Herberta jest miejsce na zwątpienie, nieufność, na wiarę i cierpienie, jest miejsce dla aniołów i umarłych, zmieści się tam i stołek dębowy, i radość zmysłów i sąd ostateczny.

Maryja Panna jedzie tam na księżycu tłustym jak karp, potem na lwie, któremu z grzywy lecą oswojone pioruny, a który do złudzenia przypomina dobrego osiołka, król Midas poluje na sylena, anioł Szemkel, czarny i nerwowy, w starej wyleniałej aureoli szmugluje grzeszników do raju, św. Ignacy walczy z różami, człowiek cierpi, bo pragnie światła, prawdy, sprawiedliwości, bo śladem poety chciałby „pochwycić w spragnione usta wieczność". Sporo u niego ciepłego humoru, dobroci, ironii i dowcipu, i nawet jeśli targa nim zwątpienie, nurtuje niepokój, jeśli kładzie niewierzące palce na ranach świata, to jednak nie opuszcza go pogoda filozoficznego spojrzenia. Nie ma ucieczki przed bólem, cierpieniem, śmiercią, samotnością, tragicznym rozdarciem, nic nie pomoże miłość do rzeczy, które przeminąć muszą, które trzeba będzie opuścić. Życie każdego z nas jest utkane z pragnień tęsknot i rzeczywistości, która nie jest w stanie nasycić jednych ani zaspokoić drugich. Wiedza o ciemnych, zawiłych drogach świata, świadomość bezradności i nędzy pojedyńczego człowieka nie napawają łatwą radością. Stąd nie ma w poezji Herberta taniego optymizmu. Ostrożność i sceptycyzm, tak. Ale także łagodność, umiar, równowaga, współczucie dla człowieka, zdolność rozumienia i wybaczania.

Poezji Herberta, jak i każdej prawdziwej poezji, nie da się opowiedzieć. To są rzeczy subtelne, nieuchwytne, które giną w palcach niezdarnych interpretacji. Tym, którzy zechcą ją czytać, można obiecać sporo miłych wzruszających niespodzianek. Trudno powiedzieć co w niej znajdą, bo zazwyczaj każdy znajduje co innego. Można jednak powiedzieć czego nie znajdą. Nie znajdą błyskotliwego gaworzenia, jałowego zdobnictwa, łatwizny myślowej czy uczuciowej, a już na pewno nie znajdą „rzeźwiącej lemoniady". To jest poezja dojrzała, odważna, rozumna dla dojrzałych, odważnych i rozumnych ludzi.

(Z.Ł.)

BOGDAN OSTROMĘCKI

Pogoń za nowością formy jest u poetów naszych czasów (jak zresztą i twórców w innych dziedzinach sztuki) zjawiskiem tak powszechnym, że w sposób paradoksalny przeszkadza prawdziwej oryginalności i wyrobieniu samodzielnego stylu, a szczególnie samodzielnej treści. Z jednej strony bowiem środki do stworzenia form nowych są w twórczości znacznie bardziej ograniczone niżby się to — powierzchownie sądząc — zdawało, z drugiej prawdziwa nowość tkwi w dziedzinie treści, nie formy. W jakiejś idealnej rzeczywistości twórczej forma zjawiałaby się niejako sama, zawsze właściwa, za każdym razem nowa, dla wyrażenia nowych myśli. Prawie niezawodną cechą rzetelnego twórcy jest pewien rodzaj — nie zawsze uświadomionego — buntu przeciw owej, płytko pojętej, pogoni za oryginalnością.

Twórczość Bogdana Ostromęckiego świadczy, że bunt ten u niego jest przemyślany, że stanowi niejako jego poetycki program. Nim właśnie otwiera tom swoich poezji p.t. **„Wędrowcy czasu"**.

Pisać nie po to, by okłamywać się pisaniem,
być echem słów, być zdarzeń powtarzaniem,

ale dlatego, żeby utrwalić błysk,
tak krótki nieraz,
że czasu nie dość między myślą i dotknięciem pióra —
błysk, w którym się jasny, szczęśliwy ból otwiera.

Ten wielki ból — pełen nadziei —
dziś tobie niosę,
to tylko on prowadzi pióra, rzuca naręcza wiosen
i przed porywem łatwych słów ocala...

Ten ambitny program znajduje pokrycie w poezji Ostromęckiego stanowiącej pochwałę dzielności a potępienie wszystkiego co małe, tanie, podłe. Poeta rozumie, że jego głównym zadaniem jest wyrażenie „żywej, jedynej treści słowa“ i że „ukryta siła“ na tym właśnie polega.

Sprawie dzielności (a także podłości) poświęcony jest najlepszy chyba wiersz Ostromęckiego: „Pieśń o zdradzie“. Utwór ten wyraża też najlepiej wysoki rodzaj humanizmu, który żarliwie wyznaje poeta. Nie ma tu nic z ckliwości, którą potępił Norwid, gdy mówiąc o tych co „by odepchnąć głos prawdy walnej“ „w dzwoneczki fijołków dzwonią“. Nie do wzruszeń wzywa autor, ale do działania:

Pamiętaj o tym, żeby do ostatniego tchu
towarzyszyć ginącym,
których łamie topór,
których dławi sznur.

Humanizm tego wiersza polega również na tym, że poeta nie przyjmuje postawy bezgrzesznego sędziego, ale i sam siebie stawia niejako w krąg oskarżonych, potrzebę walki ze zdradą widząc nie tylko w otaczającym nas świecie ale i wewnątrz siebie:

...Pamiętaj, że zdrady nocą słychać głos,
gdy serce twe w milczeniu wbrew tobie bić zaczyna
a ty w Nieomylnego ręce już czyjś złożyłeś los
i sąd i winę...

Moralność na wskroś katolicka jest treścią tego wiersza czerpiącego zresztą z Nowego Testamentu obrazy i symbole użyte trafnie i pięknie:

Których oszukał przyjaciel, jedyny ktoś na ziemi,
i zanim noc nadeszła ciemna,
już zostali przez zdrajcę pozdrowieni
i wydani rozpaczy
i wleczeni na śmierć.

W wieku podłym i małym, gdy zdrada panoszy się powszechnie, gdy jest popierana, usprawiedliwiona i tłumaczona, gdy tak zwani „dobrzy ludzie“ w imię źle zrozumianej tolerancji zawsze są gotowi podać zdrajcy dłoń, wesprzeć go uśmiechem i przyjąć jego plugawą współpracę, wartość „Pieśni o zdradzie“ polega właśnie na bezkompromisowym („letni“ powiedzą: okrutnym) zdrady potępieniu i gotowości do walki z nią.

Ostromęcki nie chce biernie przyglądać się tryumfującej podłości. Nie jest „katastrofistą“, choć jest tragiczny. To w owej świadomej chęci przeciwstawiania się wszelkim formom zła tkwi nieprzeciętna, wyjątkowa dziś ważność moralna jego wierszy. Forma, o którą zdaje się pozornie nie dbać, jest mu uległa. Służy skutecznie poetyckiej prawdzie i treści. Forma ta czasami zawodzi w wierszach-pejzażach, gdzie ładunek myśli jest mniejszy i gdzie poeta nie umie zarazić czytelnika swoim wzruszeniem, ani przekonać trafnością spostrzeżeń. I tak na przykład „portret“ Luwru z wiersza p.t. „Tani pejzaż paryski“ razi pewną powierzchownością. Jest poprawny jak niektóre portrety z czasów Oświecenia nie przenikające barwnej powierzchni rzeczywistości.

Cały zresztą cykl francuski jest stosunkowo słabszy i mniej ciekawy niż pozostałe części tomu. Wpływa na to może pewna powierzchowność i przelotność obserwacji. Autor, „smagany wichrem wzruszenia“ poddaje mu się może zbyt łatwo. Nie znaczy to aby wiersze z okresu pobytu we Francji były złe lub nawet słabe. Nie dorównują jednak swoją wagą i natężeniem pierwszej i ostatniej części zbiorku. To przez porównanie tylko pozostawiają posmak zawodu.

Mimo tych drobnych, warunkowych zastrzeżeń nie ulega chyba jednak żadnej wątpliwości, że Ostromęcki zajmuje w powojennej poezji polskiej miejsce wyjątkowe: jest jednym z arcy u nas nielicznych poetów myślących i umiejących nadać myśli kształt przekonywujący i piękny. Odważywszy się myśleć ma też pełne prawo mówić z dozą smutnego lekceważenia o każdym kto

...dzwoni w magiczne swoje szkiełko
„S z t u k a“.

Na tle rozkapryszonej i histerycznie gadatliwej poezji naszego wieku wiersze Ostromęckiego odbijają siłą i pochwałą siły oraz dziełotwórczego milczenia, którego znaczenie i ważność poeta w pełni docenia:

Oto się czarna kołysze w mocnych drzewach ziemia
i znów przeze mnie płynie siła,
która, by ślad pozostawiła,
żąda milczenia

A tom zamyka, jakby refrenem, podobnym akcentem:

I może tutaj niewiele z moich słów,
ubogich dźwięków
na pamięć sobie zasłużyło,
lecz niech ci, jak kamerton, kształci słuch
skryta w nich siła

(M.P.)

TADEUSZ RÓŻEWICZ

W roku 1949 Tadeusz Różewicz (który zadebiutował był w czasie wojny) napisał wiersz „**Odpowiedź**“. Była to proklamacja buntu przeciw pewnym określonym formom twórczości poetyckiej dziedziczonym z okresu przedwojennego, wołaniem o formy nowe (a niewyraźnie tylko określone). Poetycka moc wiersza sprawiła, że porywał i wzruszał niezależnie od tego czy czytelnik zgadzał się z opiniami zawartymi w jego treści. Ascetycznie oszczędna forma podkreśla świadome zerwanie z ozdobnością, secesją, sentymentalizmem — wszystkim, czym grzeszył zarówno Skamander, jak i polska Awangarda:

Czego żąda ode mnie
poezja
Czy wyrzeczenia
Odosobnienia i melancholii
Abym szedł przez tłum
jak przez powietrze

Jeżeli poezja żąda
melancholii i odosobnienia
wyrzeczenia
i rozpaczy
odrzuć ją
. . . .
Stwórz nową
która buduje
z uczuć powszednich
słów prostych
która czerpie ze zmysłów
z świata realnego
z świadomości

Gdy poeta mówi z ironią:

Czy muszę uciec
z domu w nocy
kiedy jest burza
i umierać
na małej stacyjce gdzie
kolejarz dudniącym głosem
woła miasta nieznane

ironia ta jest celna i trafna, gdyż brak w niej przejaskrawienia i wulgarności. Obraz poety sentymentalnego i jego

sposobu pisania jest tu niemal wierny, nieco tylko wyjaskrawiony. Dokładnie tyle ile potrzeba, by skłonić czytelnika do stanięcia uczuciowo po stronie Różewicza (przynajmniej na okres czytania utworu).

Ale już nawet w „Odpowiedzi" straszy miejscami złe widmo reportażu:

widzę czarne dni robocze
które zbiegają się w czyste
kryształy planów

a w końcu wyklęty na wstępie sentymentalizm:

Bo każdy z nas chce dotknąć
pomocnej ręki drugiego człowieka
i płacze w nocy.

W ciągu kilku następnych lat skłonność do poetyckiego dziennikarstwa dała niestety obfity plon: reportaże-wiersze z Korei, Indonezji, z fabryk czy hut przerażają i budzą obrzydzenie. Nie znaczy to oczywiście aby były specjalnie źle napisane. To co budzi usprawiedliwioną chyba troskę i złość, to ich monotonia i rutyna. Często również panoszy się w nich trywialna prozaiczność. Przez wszystkie te złe lata jednak ocala Różewicz jakieś małe, prywatne miejsce dla poezji. Prawdziwa gorycz dochodzi czasem do głosu wśród gadatliwości polityczno-społecznych oklepanek. We „Wspomnieniu dzieciństwa" poeta pisze o sobie:

Chłopiec wierzył że jest ptakiem
leciał przez zielone łąki
i krzyczał

W nocy ściga mnie
jego szybki oddech

Stół na którym opieram głowę
jest jak pień
ściętego drzewa

Wierzymy mu i współczujemy z nim, gdy kładzie głowę na stole-pniu, który niemal nieodparcie kojarzy się nam z pniem katowskim trafnie i słusznie nie wspomnianym w wierszu, pozostawionym jakby do dyspozycji naszej wyobraźni.

Różewicz, mimo zapowiedzi, że czerpać będzie „ze zmysłów z świata realnego z świadomości", często i chętnie zapomina o tych wyznaczonych sobie źródłach natchnienia. Wtedy porusza tematy, które u zbliżonego do marksistowskiej ortodoksji poety wydawać się mogą nieoczekiwane: mówi o Bogu. Niewprawne a podejrzliwe oko dojrzałoby może w jego słowach bluźnierstwo. Wydaje mi się jednak, że to dźwięczy gorycz poszukiwań, o których owocności lub bezowocności nie należy sądzić zbyt pochopnie:

Gotyk 1954

Żebra umarłego Boga
sklepione
nad głowami
wierzących
ślepo

Bóg
już niebieski
nabity na tysiąc iglic wież
katedr banków
ocieka krwią
ludzi
nie własną

Z worem złota u szyi
ciągną go
na swoje dno
skazani

Nie zawsze też — na szczęście — spełnia Różewicz groźną zapowiedź budowania poezji „z uczuć powszednich słów prostych". Gdy pisze o „zielonych różach poety", nie wiadomo: chwali, gani, czy tylko zauważa. Nie wiadomo także czy przypadkiem, w jakimś stopniu, siebie nie ma na myśli.

Jak w wypadku większości poetów, którzy pierwsze twórcze kroki stawiali w latach okupacji, okropności wojny pozostawiły na nim niezatarty ślad. Obdarzony wyostrzoną artystyczną spostrzegawczością jest szczególnie trafnym kronikarzem cierpienia i śmierci. Jakaś forma współczucia miesza się tu z gniewem i buntem przeciw źródłom krzywdy. Ale najmocniejsze zapewne są wiersze, w których ból pokazany jest bez komentarza i sądu. **„Drewno"**, ciekawy przykład świeckiej wersji tematu pasyjnego dobrą jest tego ilustracją:

Drewniany Chrystus
z średniowiecznego misterium
idzie na czworakach

cały w czerwonych drzazgach

w cierniowej obroży
z opuszczoną głową
zbitego psa

jak to drewno łaknie

Kto i w tym wierszu dopatrywałby się bluźnierstwa gotów jestem wskazać na romańskie kościoły w Katalonii, gdzie takiego właśnie Chrystusa znajdzie na głowicach ciężkich kolumn i na zatartych na poły freskach.

Temat śmierci wraca często i różnorako. Może najdojrzalszy artystycznie poświęcony mu wiersz — to **„Śmierć mieszczańska"**:

Nie jest to śmierć nagła
Nie jest to śmierć żołnierza
który uderzony pięścią pocisku
pada z odwróconą w niebo twarzą

I nie jest to śmierć starego chłopa
który wraca do wnętrza ziemi
Spokojnie jak do swego domu...

Po pochwale tych dwóch szlachetnych rodzajów śmierci następuje opis umierania mieszczanina. Powolnego konania, małego jak jego życie.

W jednym ze swoich wierszy (**„W środku życia"**) Różewicz opowiada o powrocie do zwykłego bytowania spośród bezprawia i (nieludzkiego — jak mu się zdaje) patosu wojny. „Po końcu świata, po śmierci — mówi — znalazłem się w środku życia". Uparcie powtarza:

człowieka trzeba kochać
uczyłem się w nocy w dzień
co trzeba kochać
odpowiadałem człowieka

Ale ta nauka nie idzie mu łatwo. Wydaje się, że instynkt samozachowawczy rozbudzony w niebezpiecznych latach, nauczył go nieufności. Światopogląd marksistowski, który wykuwał na pamięć w tuzinach wierszy-wypracowań, także przyswajał sobie uciążliwie. Mam nadzieję, że i tu instynkt poetycki ustrzeże go na przyszłość od popełniania wierszy w rodzaju „Troskliwości robotniczej o wspólne" i „Snowaczki z Andrychowa".

(M.P.)

(Ciąg dalszy nastąpi)

JAK ROZTROPNIE KORZYSTAĆ Z TELEWIZJI DLA DZIECI

W wielu krajach toczy się ożywiona wymiana opinii rodziców i wychowawców oraz duszpasterzy na temat wpływu telewizji na dzieci i młodzież. Specjalnie zajęły się tym zagadnieniem kościelne organizacje katolickie, które z inicjatywy obu ostatnich Papieży zainteresowały się sprawami radia i telewizji, tworząc wspólną organizację pod skróconą nazwą U.N.D.A. Ona to powołała osobną komisję, która się zajmuje działaniem telewizji na dzieci i młodzież („Radio-Television et Enfance") i powierzyła jej opracowanie zbioru wytycznych (code), które na podstawie ścisłych obserwacji i dokładnego poznania zarówno korzystnych jak i możliwych ujemnych, a nawet szkodliwych wpływów telewizji na dzieci, dawałyby rodzicom i wychowawcom potrzebne wskazówki, jak mają rozsądnie używać tego nowego środka kształcenia i rozrywki. Udział w opracowaniu tego kodeksu wzięli najwybitniejsi katoliccy specjaliści i znawcy zagadnienia: Mme A. Garin z Paryża, prof. K. Holzamer z Moguncji, ks. kan. L. Barbey i prof. E. Marmy z Lyonu, Melle A. Oberson oraz ks. dyr. J. Schneuwly z Fryburga w Szwajcarii.

CHARAKTER TELEWIZJI

Kodeks ten wychodzi z założenia, że telewizja staje się coraz częściej i w coraz większym zakresie dostępna dla dzieci i że już nie wystarczy wypowiadać się za nią lub przeciw niej, ale trzeba się starać **obrócić ją na dobre**, wyznaczając właściwe jej miejsce wśród środków kształcących i rozrywek.

Na wstępie zatem wytyczne określają sam charakter telewizji, a więc tego co ona podaje i przestrzegają przed dość powszechnym złudzeniem jakoby dawała ona prawdziwe doznanie świata. Zresztą współcześni socjologowie, jak np. Gehlen, zwracają uwagę na to, że dzisiejszy człowiek w znacznej mierze żyje „doświadczeniami z drugiej ręki", które mu się podaje już przyrządzone, udramatyzowane i możliwie interesująco ujęte, a to prowadzi do zubożenia jego własnego, czynnego życia. Tą stroną telewizji opracowany kodeks zajmuje się w swym interesującym wstępie:

CZY TELEWIZJA WPROWADZA ŚWIAT DO NASZEGO DOMU?

„Mówi się, że telewizja wprowadza świat do domu. Nawet, jeśli to jest prawdziwe pod względem psychologicznym, i to w bardzo szerokim i stale rosnącym zakresie, to jednak nie chodzi tu o sam świat, przyrodę czy człowieka, ale raczej **o obrazy** świata i człowieka, które się ukazują na naszym ekranie telewizyjnym. Pochlebne lub złudne obrazy i wizje, o wiele ostrzejsze od tych, które by mogło bezpośrednio uchwycić nasze oko; panoramy — o wiele więcej ogarniające, niż my sami zdołamy objąć wzrokiem — pomimo wszystko są to zawsze tylko „znaki" rzeczy i ludzi, widome, świecące i rozbrzmiewające znaki. Znaków jednak nie należy utożsamiać z rzeczywistością. Byłoby to zdradą popełnianą wobec prawdy, gdyby na jej miejsce chciało się wstawiać znaki. Dziecko, człowiek w ogóle, istnieje dla **rzeczywistości**, dla bezpośredniego kontaktu z tym co rzeczywiste. Telewizja więc nie zastępuje świata; zaś świat telewizji nigdy nie zastąpi tego świata, którego się w rzeczywistości dotykamy, który oglądamy i czujemy, którego doznajemy.

Telewizja zatem nie powinna nas oślepiać zastępczym złudzeniem rzeczywistego i żyjącego świata, a my powinniśmy się zastrzec przed korzystaniem z niej w taki sposób, w który mogłaby ona to osiągnąć poprzez swe sztuczki magiczne lub przez pewien rodzaj oczarowania. Ekran telewizyjny będzie spełniać swe właściwe zadanie wychowawcze tylko wtedy, gdy nie będzie przesłaniał dziecku rzeczywistego świata i ludzkiego losu. Zadanie pośrednika spełni uczciwie tylko wtedy, gdy dzięki jakości tego co unaocznia będzie budził żądzę wiedzy i radość odkrywania oraz ochotę do czynnego i bezpośredniego udziału w ramach całej rzeczywistości stanowiąc stałą do tego udziału podnietę."

Z tego poglądu na charakter telewizji i na niebezpieczeństwa, które tkwią w jej używaniu jako środka wychowawczego i jako rozrywki dla dzieci i młodzieży, wyżej wymieniona komisja wyprowadziła swe wytyczne dla rodziców i wychowawców, które niżej podajemy, a które zawierają wiele interesujących dla każdego amatora telewizji uwag konkretnych i praktycznych szczegółowych rad.

NORMY WYNIKAJĄCE Z WIEKU DZIECKA

1. Dziecko może wynieść prawdziwą korzyść z oglądania telewizji tylko wtedy, gdy osiągnęło pewien określony stopień rozwoju fizycznego i duchowo-psychologicznego. Dlatego należy bezwzględnie unikać przedwczesnego korzystania z niej przez dzieci.

2. W obecnym stanie rzeczy, gdy się wciąż i wszędzie zbiera doświadczenia, trudno byłoby podać jakąś **dolną granicę** wieku, którą by można przyjąć za regułę. Aby jednak ustalić pewien punkt wyjścia, powiedzmy, że dziecko może bez szkody zacząć oglądać programy telewizyjne nieco później niż zaczyna słuchać radia. Gdy zatem niektóre audycje radiowe nadają się już dla dzieci 4-letnich, to programy telewizyjne na ogół przekraczają zdolność ich przyjęcia przez dzieci, które nie ukończyły jeszcze pięciu a nawet sześciu lat życia.

3. W każdym poszczególnym wypadku przed dopuszczeniem dziecka do oglądania telewizji należy się liczyć mniej z wiekiem, a raczej brać pod uwagę **stopień rozwoju.** Reakcja dziecka zależy z jednej strony od poziomu obrazu i sposobu ujęcia w nim faktów oraz scenicznego ich przedstawienia, a z drugiej strony od uczuciowej zdolności reagowania dziecka znajdującego się przed ekranem telewizyjnym. „Wiek dojrzałości" do korzystania z telewizji należy odróżnić od dojrzałości dziecka do szkoły, gdyż w wielu wypadkach wyprzedza on wiek szkolny. Dzisiejsze dziecko bowiem na ogół szybciej pojmuje to, co mu się podaje przy pomocy obrazu, niż przy pomocy logicznie zbudowanego, lecz tylko ustnego wyjaśnienia.

4. Przy pierwszych przez dziecko oglądanych obrazach nie powinno się go zostawiać **samego** przed ekranem telewizyjnym. Któreś z rodziców lub ktoś z wychowawców powinien się znajdować przy dziecku, aby wraz z nim przeżywać jego pierwsze doświadczenia jako widza telewizyjnego. To im zresztą pozwoli na ocenę, jak dalece program jest dostosowany do umysłowości dziecka i ułatwi usunięcie możliwych nieporozumień, które mogą się zakraść wskutek jednostronnego i tylko częściowego przyjmowania obrazu telewizyjnego.

5. Stopniowo, w miarę lat, dziecko, przez stałe przyzwyczajanie go, winno się uczyć sztuki dobrego korzystania z telewizji jako widz-odbiorca żywo reagujący, posiadający ustaloną dyspozycję, własny sąd i krytyczne wymagania. Wychowawcy muszą zatem dawać mu najpierw konieczne wyjaśnienia i to co ogląda wstawiać w odpowiednie ramy, a podniety, jakie przez oglądanie telewizji otrzymuje — łączyć z innymi źródłami jego poznania i doświadczenia, tak aby odbierane w telewizji wrażenia mogły wejść w całość indywidualnie przyswajanej i wewnętrznie związanej postawy życiowej (kultury).

6. Wzbronione jest dla dzieci w każdym wieku, zarówno we wczesnym dzieciństwie, jak i w pewnych szczególnie wrażliwych momentach późniejszych faz rozwoju, pokazywanie przedstawień telewizyjnych mogących wywołać nadmierne podniecenie, lub wstrząs albo też powodujących halucynacje lub duchowe zaburzenia, jak np. widok obrzydliwych i budzących paniczny strach ludzi, sceny powolnych i w szczegółach przedstawianych okrucieństw oraz takich sytuacyj, w których godność ludzka jest naruszona.

7. Nawet wtedy, gdy telewizja stara się o dawanie programów „rodzinnych" nie należy przyjmować ogólnie, iż każdy z nich nadaje się dla każdego członka rodziny i że każdy może z niego korzystać. Dzieci powinny się nauczyć rozumieć, iż jak przy stole nie piją one ani kawy ani wina, tak i pewne części programu telewizyjnego są normalnie przeznaczone tylko dla dorosłych. Aby jednak przyjmowały to również z wewnętrznym przekonaniem, dorośli, a szczególnie rodzice powinni dawać przykład, że i oni nie oglądają wszystkiego, co telewizja przynosi, a więc np. wyraźnie bezwartościowych błahostek i że nie korzystają z telewizji też wtedy, gdy obowiązki lub inne formy kulturalnej rozrywki mają pierwszeństwo.

WYTYCZNE DOTYCZĄCE TRWANIA ODBIORU

1. Telewizja nie powinna pochłaniać całego życia. Ideałem w sensie wychowania i rozrywki nie może być dawanie telewizji możliwie najwięcej miejsca, lecz zapewnienie jej odpowiedniego miejsca w porządku dnia, zarówno samego dziecka, jak i całej rodziny. Miejsca, które by się wiązało z innymi zajęciami i rozrywkami, a nie przeszkadzało im. Tylko staranny i zrównoważony wybór, który nawet powinien być zdecydowanie **oszczędny,** pozwoli osiągnąć to, że telewizja jako wartościowy środek kształcący i rozrywkowy nie będzie działała burząco i że zarówno dzieci jak też i dorośli widzowie nie zobojętnieją na nią z czasem, gdy zmniejszy się ich wrażliwość odbiorcza.

2. Oczywiście, nie można podać dokładnie i cyfrowo, jak długo powinno się przeciętnie

korzystać z telewizji. Pomimo to, jeśli się weźmie pod uwagę zdolność przyjmowania wrażeń u poszczególnego dziecka, można będzie jako normę przyjąć najwyżej pół godziny dziennie dla dziecka do lat 9-ciu, a w wieku późniejszym przedłużyć ten czas do dwu godzin, przy czym nie należy tego traktować jako jakiejś zwyczajowej „dziennej racji".

3. To ograniczenie w czasie jest konieczne nawet wtedy, gdy dziecko w swym zainteresowaniu oglądanym obrazem „znosi" większą rację i prosi o pozwolenie oglądania dłużej. Oczywiście trzeba przewidywać pewne sytucje wyjątkowe, ale zawsze należy być świadomym tego, że wszelki nadmiar pod tym względem jest dla dziecka szkodliwy, a zarazem unicestwia wartość telewizji jako środka działania kulturalnego, wymagającego stałej czujności w roztropnym posługiwaniu się nim.

4 Wszelki przesyt wrażeniami wzrokowymi zwraca się szczególnie przeciw zasadom **higieny duchowej** dziecka. Wywołuje on niebezpieczeństwo, iż dziecko postrada zmysł i poczucie rzeczywistości, którą powinno bezpośrednio wybierać i przeżywać.

5. Nadmiernie wiele czasu spędzanego przy telewizji może również szkodzić zdrowiu fizycznemu, a przede wszystkim zbytnio męczyć oczy oraz powodować zesztywnienie wzroku skierowanego przez dłuższy czas na jeden przedmiot przed sobą.

6. Nie potrzeba tu oczywiście osobno podkreślać szkód, jakie mogą wyniknąć z zaniedbywania obowiązków lub zajęć związanych ze szkołą.

7. W końcu pozostaje groźba, jaką stanowi telewizja dla „klimatu rodzinnego", gdy wobec telewizji nie ma już miejsca na osobiste rozmowy i wspólne rozrywki i gdy zarówno życie wewnętrzne jak i wszelkie skupienie się są prawie niemożliwe. (Niebezpieczeństwo to jest tym większe, im mniejsze jest mieszkanie rodzinne.) Wszystkie spotkania i osobista wymiana myśli i wrażeń w ciągu dnia muszą wtedy ustępować przed tyrańską władzą „czarodziejskiej skrzynki z obrazkami".

OPTIMUM WARUNKÓW KORZYSTANIA Z TELEWIZJI

1. Dziecko powinno znajdować się w odpowiedniej odległości od aparatu telewizyjnego, aby oglądało obraz wyraźnie. Przeważnie tak bywa, że hamować trzeba chęć „wejścia" do telewizora dzieci, które chcą znajdować się jak najbliżej przedstawianych scen.

2. Aparat stosownie do swej wielkości winien być ustawiony w pokoju odpowiednich rozmiarów i nie za wysoko dla wzroku dziecka. W pokoju należy zostawić jakieś słabe światło, nie powinno się bowiem oglądać telewizji w pokoju zupełnie zaciemnionym.

3. Pozycja dziecka ma być możliwie wygodna, powinno ono siedzieć tak, aby z jednej strony wykluczyć zupełną niedbałość, a z drugiej możliwość zmęczenia z powodu zbyt sztywnej i męczącej lub nienormalnie wykręconej pozycji.

4. Przyzwyczajenie do grzeczności i uprzejmego liczenia się z obecnością innych oglądających oraz do pewnego rodzaju poszanowania dla oglądanego programu wydaje się konieczne, a zarazem uzasadnione jako przejaw kultury życia. Lepiej pokój opuścić, jeśli nas program nie interesuje, lub gdy na razie nie znajdujemy się w odpowiednim do jego oglądania usposobieniu, niż innym psuć radość, albo też wartościowe widowisko odbierać niedbale.

5. Podczas posiłków włączony odbiornik telewizyjny jest stanowczo nie na miejscu.

6. Programy nadawane późnym wieczorem nie nadają się dla dzieci. Zmęczenie już nie pozwala im na uważne oglądanie, ponadto pozbawia dziecko tak koniecznego dla niego snu i czyni je niespokojnym. Po zakończeniu oglądania telewizji powinno się dać dziecku 15 minut wytchnienia zanim pójdzie do łóżka.

ROLA RODZICÓW

1. Nawet jeśli nazywacie swoim własnym ten wspaniały odbiornik telewizyjny, nie powinniście mniemać, że winien on wam codziennie składać swoją daninę („aby się opłacał"). Rozsądne i roztropne korzystanie z wszelkiego kulturalnego środka polega na umiejętności rozróżniania i wyboru, na duchu dyscypliny i umiarkowania.

2. Po tym wszystkim, co wasze dzieci nabywają i czego się uczą w szkole, powinniście być przekonani, iż potrzebują one raczej wytchnienia i wypoczynku, aniżeli dodatkowych porcji kulturalnych. Dla wypoczynku zaś wolna i samodzielna zabawa jest dla dzieci znacznie lepsza niż rozrywka, jaką stanowi telewizja.

3. Oczywiście nie hołdujcie snobistycznym zapatrywaniom jakoby telewizja była lepsza jako rozrywka, ponieważ jest bogatsza, albo też bardziej „leniwym" przeświadczeniom, że jest ona bardziej doskonała, gdyż absorbuje uwagę waszych małych „łobuzów" i możecie mieć trochę miłego spokoju.

4. W rzeczywistości, możecie znaleźć wiele radości w ocenianiu i wyszukiwaniu odpowiednich punktów programu dla waszych dzieci, dlatego trzeba z góry znać telewizyjne „menu". Nie ufajcie jednak ślepo temu co głosi reklama ze względów handlowych. Dopiero własne doświadczenia telewizyjne pozwolą wam należycie ocenić wartość tych źródeł, z których pragniecie czerpać dla swych dzieci naukę i rozrywkę, a które stoją do waszej dyspozycji. Oboje rodzice powinni się zawsze uprzednio porozumieć co pragną swym dzieciom pokazać i nigdy ani przed widowiskiem, ani podczas niego lub po nim nie sprzeczać się na ten temat w obecności dzieci.

5. Zazwyczaj po takim przygotowaniu się, nie przybierając pozy nauczycielskiej, będziecie mogli w paru zdaniach wprowadzić dzieci w punkt programu, jaki mają właśnie oglądać. Również w ciągu trwania widowiska można w paru słowach podtrzymać zaciekawienie, prowadzić, uzupełniać, a nawet prostować tam, gdzie jest to wskazane dla małego widza. Telewizja z konieczności sprowadza wartości do jednego poziomu (niweluje je): na tym samym ekranie przesuwają się sceny najbardziej wzniosłe i najbardziej zwykłe a nawet pospolite, słowa i ważkie i nic nie znaczące towarzyszą obrazom. Jedną krótką uwagą można w danych okolicznościach przywrócić właściwy pogląd na wartość lub porządek wartości.

6. Pomimo tych wszystkich wysiłków może nas jednak wybrany punkt programu zupełnie zawieść i nasuwać poważne wątpliwości, czy nadaje się dla dzieci. Wtedy trzeba się zdobyć na odwagę, aparat wyłączyć i wytłumaczyć dlaczego to robimy. (Poza tym wypadkiem nie powinno się nigdy **nagle** przerywać widowiska, któremu się dziecko przygląda z przejęciem, jeśli zasługuje ono na takie zainteresowanie u dziecka i jest dla niego stosowne.)

7. Starajcie się pomóc dziecku, aby nie było ono tylko uważnym, ale biernym widzem. Wspierajcie jego samorzutne reakcje i podtrzymujcie jego opinie. Swym własnym przykładem stopniowo nauczcie je, aby umiało samo wybierać w programie. Dlatego z czasem nie należy już siedzieć ze starszymi dziećmi przy telewizji, a u progu wieku młodzieńczego pozwólcie im polegać na własnych siłach.

8. Tymi wszystkimi sposobami — a są to prawdziwe odkrycia — może rodzina, dzięki telewizji otaczać swe dzieci opieką i towarzyszyć im w ich kształceniu się i w ich rozrywkach znacznie dłużej, niż to było możliwe dotychczas. Oglądanie telewizji sprzyja o wiele zdrowszym rodzajom reakcji, niż te, które budzą się w anonimowej sali publicznej, jak się to dzieje w kinie. Kto umie z tego korzystać ten będzie telewizji zawdzięczał o wiele bardziej ścisły związek ze swymi dziećmi i większą sposobność do wymiany myślowej z nimi, a także i uczuciowej, co może wpłynąć na zacieśnienie wspólnoty rodzinnej.

ROLA RODZICÓW WOBEC PRODUCENTÓW TELEWIZYJNYCH

1. Producenci telewizyjni: kierownicy, autorzy, wykonawcy, reporterzy itd. są o wiele bardziej wrażliwi na waszą krytykę, niż wam się to wydaje. Uważajcie ich zatem za swych współpracowników, doradców i informatorów.

2. Przekazujcie im swe dodatnie opinie i swe uznanie, a nie tylko swe żale. Wyobraźcie sobie, jak wielki wpływ moglibyście wywierać gdyby każda rodzina, która posiada telewizję, od czasu do czasu wysłała kartkę do kierownika swego okręgu telewizyjnego i w niej wyraziła swój zachwyt dla doskonałego widowiska, lub też innym razem — przeciwnie — swe oburzenie na odpychający punkt programu.

3. Nalegajcie nieustępliwie na to, aby w ogólnych dążeniach telewizyjnych ludzie za nią odpowiedzialni myśleli o tym, że **decydującym odbiorcą telewizyjnym jest rodzina.** Żądajcie szczególnie, aby w programach na soboty i niedziele wprowadzono atmosferę rodzinną.

4. Dobre wyważenie działów programu, złożonego z tematyki aktualnej, widowisk dokumentarnych i wszelkiego rodzaju rozrywek — oto dalszy wasz postulat.

5. W interesie waszych dzieci podkreślajcie znaczenie tych form emisji, które przez element ruchu przez gry i zawody zachęcają do czynnej postawy ducha i wyobraźni i które wytrącają widza z jego tylko biernej postawy.

6. Domagajcie się dla dzieci i młodzieży specjalnego planu emisyj, które by się liczyły z rytmem życia w rodzinie. Przeznaczone dla nich widowiska powinny być nadawane przed czasem, kiedy normalnie dzieci idą spać. Dziękujcie specjalnie zapowiadaczom (speakerom), którzy pamiętają, aby w czas, na zakończenie programu dla dzieci, powiedzieć im „dobranoc" i nie budzą u młodocianych widzów apetytów na „zakazane owoce" przez zachwalanie następnych, niestosownych dla dzieci punktów programu.

J. Cz.

D O B R E   F I L M Y

Jak je określać? Jak je popierać? IX Kongres Międzynarodowego Katolickiego Biura dla Spraw Filmu (O.C.I.C.) w Paryżu (16-20. 6. 1956) miał za temat obrad „popieranie dobrych filmów wśród mas widzów publiczności".

W liście do kan. Jean Bernard, prezydenta O. C. I. C., w imieniu Jego Świątobliwości, mgr dell'Acqua przesłał błogosławieństwo i „ojcowską zachętę" Ojca św. dla organizacji, która „stara się od lat inicjować i prowadzić wytrwałą i skoordynowaną akcję katolików na rzecz sztuki kinematograficznej, szanującej wartości religijne i moralne".

List zwracał uwagę, że Kongres paryski jest pierwszym kongresem po ukazaniu się encykliki „Miranda prorsus". Jako zadanie dla Kongresu wskazywał ten zasadniczy i trudny problem jakim — w odniesieniu do opinii publicznej — jest włączenie dobrego filmu we „wzajemną i nieodpartą niemal współzależność między opinią, która wyrokuje o produkcji i produkcją, która schlebia opinii..." Ojciec św. dał w swej encyklice wyraz zaufania do mas publiczności i jej zdrowych instynktów, pod warunkiem rozwinięcia starań o należyte przygotowanie opinii..." Wyrobienie smaku (przez filmy naprawdę wartościowe i udane)... obrona przed wpływem szkodliwej reklamy... formacja przez należyte opiniowanie moralne filmów w obiegu... oto zadania katolickiego ośrodka dla spraw filmu w każdym kraju... Widzom przypomina Papież, że „każdy bilet jest jakby kartką wyborczą w głosowaniu, które dokonuje wyboru między dobrym i złym flmem i kinem..."

Katolicka międzynarodówka dla spraw filmu, radia i telewizji rozwija się. Oto dowody. Na zjeździe paryskim obecni byli przedstawiciele Komisji Pontyfikalnej dla Filmu, Radia i Telewizji — prałaci Galletto i Deskur. Wśród „filmologów" był Gilbert Cohen-Seat, autor głośnej pracy „Esej o zasadach filozofii filmu" „Essai sur les principes d'une philosophie du cinéma"). Na 160 delegatów, 100 spoza Francji reprezentowało 32 kraje (delegacja z Polski nie przybyła mimo zapowiedzi, ponieważ przedstawiciele polskiego katolickiego ośrodka dla sprawy filmu nie zdołali otrzymać paszportów). Wśród delegatów: kan. J. Bernard (Luksemburg), prezes O. C. I. C.; wiceprezesi: mgr Little (Stany Zjednoczone), ks. Burke (W. Brytania), mgr Kochs (Niemcy), Avetta (Włochy); de Hemptinne (Belgia), sekretarka gen. O. C. I. C.; byli nawet delegaci z Konga i Egiptu.

Podstawę do obrad Kongresu dały trzy referaty: „Publiczność w swej masie, filmy jakie jej odpowiadają, metody reklamy" (ks. Flipo z Francji); „Współpraca z czynnikami zawodowymi dla popierania dobrych filmów" (Wilhelm Mogge z Niemiec); „Warunki skuteczności akcji na rzecz dobrych filmów" (R. de la Fuente z Argentyny). Materiał faktyczny dał kwestionariusz O. C. I. C. w sprawie akcji promowania dobrych filmów, na który odpowiedzi nadeszły z 34 krajów (syntetyczne opracowanie o. Lundersa, O.P.). Sprawozdania z Kongresu, a także i prasa katolicka zachodnio-europejska podkreślały obecność w delegacji peruwiańskiej zasłużonego pioniera katolickiej międzynarodowej akcji filmowej, prof. Andrzeja Ruszkowskiego z uniwersytetu w Limie, doradcę „Międzynarodowego Przeglądu Filmowego", który na posiedzeniu Rady Naczelnej O. C. I. C. przedstawił zasadniczy referat o działalności krajowych katolickich central dla spraw filmu w świetle wskazań encykliki „Miranda prorsus".

Warto zanotować niektóre chociaż rozważania z materiałów kongresowych:

„...Nie można mówić o dobrym filmie bez uwzględnienia publiczności; film idealny nie istnieje... Istnieją filmy dobre dla takiej lub innej kategorii widzów..." — „...Wartość moralna filmu jest elementem podstawowym i najgłębszym jego wartości w ogóle: nie ma dobrego filmu bez wartości moralnej...", ale „...musimy być bardziej wyrozumiali w naszych sądach o filmach, o ile tylko wykazują szacunek albo podkreślają godność ludzkiego sumienia". — W szczególności jednak dla chrześcijan: „...dobrym jest film, który dla określonej publiczności przynosi coś z posłannictwa chrześcijańskiego, chrześcijańskiego humanizmu, chrześcijańskiej cywilizacji..." (Flipo).

„...Należy unikać określenia 'porady kościelne', gdy ktoś z Akcji Katolickiej poprzestał na pokazaniu aktorom jak się przeżegnać..." — „Wszelkie rady i wskazówki, o jakie się zwracają do przedstawicieli Akcji Katolickiej nie powinny w żadnym razie powodować korzyści finansowych..." (Mogge).

„Musimy studiować środki, dzięki którym nasza akcja na rzecz danego filmu, lub przeciwko niemu, wpłynie na jego sukces kasowy..." — Środki obejmują m. in.: debaty filmowe i kluby filmowe; pisma filmowe (popieranie „Międzynarodowego Przeglądu Filmowego" — „Revue internationale du cinéma"); recenzje filmowe; nagrody (tu uwaga, by dobór filmów nagradzanych przez O. C. I. C. przyczyniał się do wzrostu prestiżu tych nagród); zalecenia wymieniane między krajami (O. C. I. C. winien działać jako „giełda" światowa, do której centrale krajowe kierować będą informacje o filmach godnych poparcia, jeszcze przed ich ukazaniem się); lansowanie (premiery, kampanie propagandowe itp.), jednak reklama ze strony katolickiej może zaszkodzić filmowi, gdy sprawi wrażenie, że film dany interesuje przede wszystkim lub wyłącznie katolików); towarzystwa dystrybucyjne filmów (podkreślono powstanie „Unii Ameryki łacińskiej dla dystrybucji i produkcji filmów", założonej z inicjatywy prof. A. Ruszkowskiego) ... (Lafuente).

Rezolucje Kongresu zwracają się kolejno do mas widzów katolickich, do właścicieli kin, do władz, autorów, producentów, dystrybucji, reklamy, recenzentów — z apelem i zaleceniami konkretnymi dla poparcia filmów dobrych, uwzględniając aspekt moralny w zrozumieniu wagi sprawy wobec wpływu filmu na masy. W szczególności, przypomina się katolikom, że masowe popieranie dobrych filmów jest potężną bronią w ich ręku. Zadaniem krajowych katolickich central do spraw filmu, radia i telewizji jest wskazywanie środków działania, a pomocą dla nich będzie coraz aktywniejsza współpraca na szczeblu międzynarodowym.

Wyniki ankiety w sprawie akcji promowania dobrych filmów (Lunders) potwierdziły z jednej strony skuteczność opiniowania filmów przez centrale katolickie, jak również rosnące znaczenie i wpływ systemu wyróżniania i nagradzania filmów przez O. C. I. C. (wielka nagroda doroczna; nagrody i wyróżnienia na festiwalach międzynarodowych w Wenecji i Cannes itp.), z drugiej jednak strony wykazały w wielu krajach niedostateczne kontakty z producentami i siecią dystrybucji oraz konieczność zwiększenia współpracy międzynarodowej.

Prof. Ruszkowski na Radzie O. C. I. C. zanalizował drobiazgowo rolę i zadania katolickich ośrodków dla spraw filmu, radia i telewizji w poszczególnych krajach w świetle wskazań encyklik „Miranda prorsus" i „Vigilanti cura". Stolica Apostolska dobitnie nakazuje powołanie i podkreśla rolę tych ośrodków jako instytucji, które z ramienia Kościoła kierują apostolstwem w dziedzinie filmu. Zakres akcji nakreślonej przez Stolicę Apostolską jest szeroki; chodzi nie tylko o orientację publiczności co do wartości filmu, ale o wpływ na wszystkie czynniki zaangażowane w tym olbrzymim przemyśle, jego „odnowienie i podniesienie". Encyklika zaleca pozytywne podejście przede wszystkim, a nie tylko posługiwanie się zakazem. Akcja ośrodków, ich powaga, organizacja, kompetencja, muszą sprostać tym celom. Potrzeba rozległych studiów, aby zebrać elementy dla akcji opiniowania, wpływania na twórców i eksploatantów, formacji widzów (prof. Ruszkowski przypomina niektóre podstawowe prace: Abbé A. Ayfre, „Dieu et Cinéma", Paris, 1953; Fray M. de Begona, „Elementos de Filmologia", Madrid, 1953; R. P. Leo Lunders, O.P., „Introduction au Probléme du Film et de la jeunesse", Bruxelles-Paris, 1953, itp.; również pisma specjalne z „Revue Internationale du Cinéma" na czele). Konkretne wskazania encykliki co do współpracy i wpływu na środowiska zawodowo zaangażowane w produkcji i eksploatacji filmu, oraz współdziałania poczynań katolickich w dziedzinie filmu, radia i telewizji, obejmują równocześnie akcję w poszczególnych krajach, jak i teren międzynarodowy. Papież przykłada szczególną wagę do współpracy i koordynacji międzynarodowej, czego narzędziem ma być Międzynarodowe Katolickie Biuro dla Spraw Filmu (O. C. I. C.).

W. I.

Katolicki Zjazd Niemców w Berlinie

Obie części Berlina, zachodnia i wschodnia liczą razem blisko 3,3 milionów mieszkańców, a w tym jest około 400 tysięcy katolików (12%). Po raz drugi po wojnie zwołany został niemiecki Zjazd Katolicki w Berlinie by tu właśnie zademonstrować prężność i wolę trwania katolików całych Niemiec, wschodu i zachodu. 26 biskupów z Niemiec i Austrii, kardynałowie Kolonii i Monachium i Nuncjusz Apostolski z Bonn patronowali uroczystościom, w których brało udział ponad 80.000 uczestników, w tym 50 tysięcy z Niemiec wschodnich, a więc dominowali katolicy wschodni, wśród nich zaś 10.000 młodzieży. Nabożeństwa, zebrania i manifestacje odbywały się w obu częściach Berlina. Protestancki Berlin był świadkiem żywiołowej manifestacji katolicyzmu.

∴

Zjazd odbywał się przy życzliwej postawie ludności protestanckiej i hierarchii Kościołów ewangelickich. Biskup ewangelicki Berlina, dr Dibelius, wezwał swoich wiernych do udzielania kwater gościom z prowincji. Dziesiątki tysięcy katolików znalazło gościnne przyjęcie w domach protestanckich. W uroczystościach uczestniczyli także przedstawiciele Kościołów protestanckich z delegatem Rady Kościołów Ewangelickich w Niemczech, ks. Klaus von Bismarck, potomkiem „żelaznego" kanclerza na czele. W przemówieniu swym do kongresu ks. Klaus von Bismarck stwierdził: „Jeśli ewangelicy i katolicy dyskutują o Bogu, drogi ich się rozchodzą, jeśli wspólnie są zwalczani, cierpienia ich łączą, jeśli pod wspólnym krzyżem modlą się do Boga, tworzą jedną rodzinę chrześcijańską".

W czasie poprzedniego zjazdu, w roku 1952, odbywało się główne nabożeństwo pontyfikalne pod krzyżem, ofiarowanym zjazdowi katolickiemu przez protestantów. Ten sam krzyż gromadził i w tym roku uczestników zjazdu do modlitwy i był mimo różnic dogmatycznych symbolem wspólnoty, w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa.

∴

„Troską naszą jest człowiek, zbawieniem naszym jest Bóg" — to hasło tegorocznego zjazdu. Troska dotyczyła głównie człowieka na wschodzie. Walka komunistów wschodnio-niemieckich z Kościołami chrześcijańskimi wzmogła się znacznie w ostatnich miesiącach. Celem walki jest przede wszystkim młodzież i wyrwanie jej spod opieki Kościoła. Kościół protestancki, dominujący w Niemieckiej Republice Demokratycznej, jest przedmiotem szczególnych ataków ze strony rządu i partii. Jedność Kościoła ewangelickiego w Niemczech została zachwiana. Ale i Kościół katolicki — pozornie dotychczas ze względu na swoją liczebną słabość (10%) mniej prześladowany, stał się w przededniu zjazdu celem ataków. Kilku jezuitów i księży aresztowano. Do ostatniej chwili nie było wiadomo czy część manifestacji odbyć się będzie mogła we wschodnim Berlinie i czy uczestnikom z NRD uda się przyjechać do Berlina.

W ostatniej chwili zwyciężył głos umiaru, inspirowany nie wiadomo czy rozsądkiem czy machiavelskim zamiarem wygrywania 2 milionów katolików przeciw 15 milionom protestantów. Przebieg zjazdu dowiódł, że chrześcijanie niemieccy stanowią jeden front. Nie mogło się to podobać wrogom Krzyża i nie jedną może zburzyło ich nadzieję na łatwe zwycięstwo nad duszami ogółu młodych Niemców.

Prasa wprawdzie atakowała zjazd, ale stanowisko władz wschodnio-niemieckich było poprawne. Nie robiono trudności przy wjeździe do Berlina. Szkoły we wschodnim Berlinie oddano na kwatery. Zezwolono na publiczne nabożeństwo w samym sercu starego Berlina, na placu przed katedrą świętej Jadwigi. Duża hala zebrań, gdzie tak niedawno delegaci kongresu wschodnio - niemieckiej partii komunistycznej spotykali Chruszczowa, stała teraz otworem dla uroczystości katolickiej, odbywającej się równocześnie we wschodnim i w zachodnim Berlinie. Ale, trzeba przyznać, że organizatorzy starali się też unikać zadrażnień. Zjazd nie miał charakteru politycznego. Tym się różnił od poprzednich zjazdów w Kolonii, Fuldzie czy w Berlinie, gdzie sprawy polityczne, a przede wszystkim postulat politycznego zjednoczenia Niemiec, były silnie podkreślane. Tym razem wysunęły się na czoło zagadnienia teologiczne, duchowe i społeczne w myśl założenia, że Bóg i wiara stanowią najskuteczniejszą zaporę przeciwko zakusom totalizmu komunistycznego. Nie jako „ecclesia militans" w sensie świeckim, ale w sensie duchowym, zaprezentował się mocno katolicyzm niemiecki.

∴

Obok rozważań duchowych poświęcono jednak wiele miejsca pierwszej części hasła zjazdowego: „Troską naszą jest człowiek..." Zadania niemieckiego katolicyzmu ujął w tezy jezuita, o. Paweł Mianecki: troską naszą jest człowiek religijnie obojętny i Bogu obcy; troską naszą jest człowiek pozbawiony sumienia i poczucia odpowiedzialności; troską naszą jest człowiek opętany demonem techniki; troską naszą jest człowiek egoistyczny, człowiek bez serca; troską naszą jest człowiek zgubiony, który zatracił Boga, nie modli się, nie ma poczucia winy, nie spełnia dobrych uczynków, wzbrania się dzielić troski i bóle bliźniego.

∴

Dwie imprezy dały miarę nastroju. Na placu Bebla we wschodniej części miasta, przed katedrą św. Jadwigi śląskiej, konsekrowanej w roku pierwszego rozbioru Polski przez biskupa warmińskiego Krasickiego, naprzeciw głównej kwatery wschodnio - niemieckiej partii komunistycznej, arcybiskup Wiednia celebrował pontyfikalną Mszę św. w intencji pokoju powszechnego. 15.000 kobiet, przeważnie ze wschodu, uczestniczyło w tym specjalnym nabożeństwie. Potężne wrażenie nie tylko na uczestnikach, ale zapewne i na obserwujących (z domu partyjnego) komunistach czy milicjantach, wywarł moment, kiedy po Agnus Dei 56 kapłanów zstępowało ze schodów ołtarza, rozchodząc się we wszystkich kierunkach placu, by podać wiernym Ciało Chrystusa. Ilość przystępujących do Komunii św. była tak wielka, że zabrakło komunikantów i część udać się musiała do innych kościołów wschodnio-berlińskich by przystąpić do ołtarza Pańskiego.

W Plotzensee, w miejscu kaźni hitlerowskiej, na dziedzińcu więziennym, w którym padały pod toporem nazistowskim głowy skazańców, gdzie na ścianie śmierci tkwią do dnia dzisiejszego haki rzeźnickie, na których wieszano spiskowców zamachu 20 lipca, zgromadziło się wieczorem 30 tysięcy mężczyzn. Nocny pochód, którego cisza przerywana była jedynie szeptem odmawianego przez pątników różańca, posuwał się powoli przez korytarz, którym z celi śmierci skazańcy kroczyli na miejsce kaźni. W bezpośrednim sąsiedztwie byłego więzienia stanie kościół katolicki pod wezwaniem „Maria Regina Martyrum".

∴

Gości zagranicznych było na zjeździe niewielu. Oczekiwano wprawdzie delegatów z Polski, lecz nikt nie przybył. Kardynał Wyszyński nadesłał zjazdowi depeszę z życzeniami. Odczytując ją na uroczystości otwarcia w zachodnim Berlinie, przewodniczący Komitetu Zjazdowego, ks. Loewenstein, oświadczył, że Niemcy uznają prawa do życia innych narodów, a szczególnie prawa narodu polskiego, na równi z prawami narodu niemieckiego i nie dopuszczą nigdy w stosunku do Polski do objawów nietolerancji, sprzecznej z założeniami wiary katolickiej.

W dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej, kardynał koloński Frings odprawił w stadionie olimpijskim Mszę św. pontyfikalną. Biskup Hengsbach z Essen wygłosił kazanie, w którym nawiązał do wielkich uroczystości ku czci Maryi, jakie w tym dniu odbywają się jednocześnie na dwóch krańcach Europy: w Lourdes i w Częstochowie.

St. Czechanowski

BEATYFIKACJA KARDYNAŁA NEWMANA

Mgr. H. Francis Davis (adres: Oscott College, Sutton, Coldfield, Warwickshire) — wicepostulator sprawy beatyfikacji kardynała Newmana, wystosował następujące oświadczenie:

„...Jeżeli ktokolwiek posiada listy lub inne dokumenty pisane przez kardynała Newmana... obowiązany jest w swoim sumieniu nie niszczyć takowych, ale poinformować niezwłocznie o nich mnie, jako wicepostulatora.

Odpisy wszelkich pism Newmana muszą być przesłane do Rzymu do badania.

Jeżeli ktokolwiek ma, albo wie o jakimkolwiek dokumencie, który by mógł posłużyć w procesie informacyjnym, jest proszony o skomunikowanie się ze mną. Takim dokumentem byłby każdy współczesny list albo pamiętnik lub też opracowanie zawierające sąd, pozytywny lub negatywny, dotyczący charakteru kardynała Newmana.

Będę wdzięczny za wszelkie inne informacje, które by mogły pomóc w procesie informacyjnym."

WSPOMNIENIE O LUDWIKU TYROWICZU

Z prasy krajowej dowiedzieliśmy się o śmierci Ludwika Tyrowicza, artysty grafika, zasłużonego wychowawcy młodego pokolenia grafików polskich oraz jednego z najbardziej czynnych organizatorów życia związkowego artystów plastyków w Polsce.

Ludwik Tyrowicz urodził się we Lwowie i pochodził z rodziny, w której twórczość artystyczna przechodziła z pokolenia na pokolenie. Zamiłowanie do sztuki wykazywał od wczesnej młodości. Jako uczeń trzeciej klasy VI gimnazjum we Lwowie, wykonywał ilustracje do satyrycznego miesięcznika szkolnego „Śmiech", zaś w okresie matury, zobrazował w rysunkach o ujęciu satyrycznym etapy swego życia w szkole.

Studia artystyczne rozpoczął we Lwowie u prof. Sichulskiego, zaś w 1923 r. udał się do Warszawy, by kontynuować je w Akademii Sztuk Pięknych pod kierownictwem profesorów Skoczylasa, Kotarbińskiego i Jastrzębowskiego. Tu zapoznał się ze sztuką czarno-białą, która zadecydowała o głównym kieruku jego przyszłej kariery artystycznej. Po studiach wrócił do rodzinnego miasta, w którego atmosferze czuł się najlepiej i tu doskonalił i rozwijał swój talent artystyczny.

Jako młody adept sztuki nie poprzestał na wiadomościach zdobytych w szkole. Szukał własnej drogi i formy, w którą chciał wcielić swe przeżycia artystyczne. Dzięki wytrwałej i żmudnej pracy zapoznał się z tajnikami różnych technik graficznych, które później z taką swobodą oraz pewnością stosował w swych pracach. Rozmiłowany w pięknie krajobrazu, fragmentach architektonicznych oraz scenach życia danego środowiska, szukał w nich przeżyć artystycznych nie tylko w czasie wycieczek po całym kraju, lecz również w licznych wypadach za granicę. Zwiedził kilkakrotnie Francję, Włochy, Dalmację, Węgry, Austrię i Niemcy. Zawsze z nieodłącznym szkicownikiem w ręku, gromadził notatki, które później stanowiły niewyczerpane źródło tematów w jego pracowni graficznej.

Pozostawił po sobie ponad półtora tysiąca skatalogowanych prac, zgrupowanych w oddzielne teki lub cykle. Obejmują one drzeworyty czarno-białe i wielokolorowe, linoleoryty, akwaforty akwatiny, mezzotinty, autolitografie, suchoryty, miękki wosk, litografie, jak również prace w ołówku, kredce, temperze, akwareli i oleju.

Zadziwiają nas one różnorodnością obranych tematów. — Czy są to pełne dramatycznego nastroju średniowieczne zamki lub zaułki włoskie, czy zabytki Lwowa, Gdańska, Wrocławia i wielu innych miast polskich, czy skąpane w słońcu winnice francuskie lub pełne uroku regle tatrzańskie lub połoniny Karpat, przemawiają one do nas, w interpretacji artysty, uczuciowością ujęcia tematu, pięknem oraz doskonałością stosowanej techniki graficznej. W obrazach tych wyraźnie odczuwa się obecność człowieka. Postacie te, choć często w lapidarnej prostocie ujęcia, są pełne życia i tworzą z obranym tematem integralną całość nadając jej przez to cechy rzeczywistości.

Osobny dział stanowi zbiór ponad stu ekslibrysów, które Tyrowicz wykonał dla różnych prywatnych księgozbiorów tak w kraju jak i zagranicą. — W pracach tych mieniących się mozaiką różnych technik graficznych, uwypukla się w pełni talent artysty, dzięki któremu zdołał on pogodzić wymagania zamawiającego z własną inwencją twórczą.

Liczny udział w wystawach tak krajowych jak i zagranicznych dał Tyrowiczowi



Ludwik Tyrowicz (drzeworyt barwny, 1928 r.) Cerkiewka

zasłużone uznanie krytyki oraz liczne odznaczenia, z których wymienić należy uzyskane na Międzynarodowej Wystawie Ekslibrisu w Los Angeles w 1931 r. oraz na Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu w Warszawie w 1933 r. Przypomnieć również tu trzeba tekę 12 akwafort „San Gimignano", które przyniosły artyście duży rozgłos tak w kraju ,jak i zagranicą.

Uznanie które zdobył, spowodowało zakupienie jego prac do zbiorów artystycznych Biblioteque Nationale w Paryżu, Albertine w Wiedniu, Muzeum Miejskiego w Rzymie, British Museum, Muzeum Sztuki w Malmoe, jak również do licznych zbiorów państwowych, miejskich i prywatnych w kraju.

Po wojnie Tyrowicz osiadł w Łodzi, skąd często jeździł na Ziemie Odzyskane, Pomorze i Kielecczyznę. Owocem tych wędrówek były pełne szkiców teki i cykle opiewające piękno tych ziem.

W roku 1951, w czasie urządzonej w Łodzi wystawy, na 25-lecie pracy artystycznej, odznaczony został złotym Krzyżem Zasługi.

Działalność Tyrowicza nie ograniczyła się jedynie do pracy artystycznej. Zdolności swe i wiedzę poświęcał również kształceniu młodego pokolenia w sztuce graficznej. W swej 25-letniej działalności pedagogicznej wychował wielu wybitnych artystów grafików pracujących dziś w różnych dziedzinach plastyki.

Przed drugą wojną światową uczył grafiki użytkowej w Szkole Przemysłu Artystycznego we Lwowie, zaś po wojnie, w Łodzi był przez wiele lat dyrektorem Liceum Sztuk Plastycznych, a następnie — aż do śmierci — profesorem w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. W związku z ostatnim stanowiskiem wydał w r. 1957 pierwszy tom pracy o kostiumologii, obejmującej podstawowe wiadomości o dziejach ubioru i opracowywał tom drugi, który miał objąć historię ubioru. Tej pracy nie zdążył ukończyć.

Ludwik Tyrowicz oddał również poważne usługi w organizowaniu życia związkowego artystów plastyków. Dzięki jego inicjatywie i wysiłkom założony został Związek Artystów Plastyków we Lwowie, w którym bez przerwy pełnił obowiązki prezesa, zaś po drugiej wojnie piastował tę samą godność w Związku Artystów Plastyków w okręgu łódzkim. Do ostatniej chwili czynny, pełen sił i planów na przyszłość, zmarł 17 lutego b. r. w Łodzi na udar mózgu. O popularności jego i zasługach na polu artystycznym, pedagogicznym i związkowym świadczą wymownie odgłosy prasy i radia w Kraju.

Władysław Bogucki

WYSTAWA PRAC MARIANA BOHUSZA-SZYSZKO

24 września o 4 po południu w klubie YMCA (46/47 Kensington Gdns Sq., W. 2) zostanie otwarta wystawa prac profesora Mariana Bohusza-Szyszko (gwasze). Wśród obrazów będą też prace typu malarstwa religijnego.

KRYSTYNA BOROWSKA

TEATRY WARSZAWSKIE

(WRAŻENIA Z CZERWCA 1958 R.)

Krótkie wytłumaczenie okoliczności i trochę statystki: w Warszawie byłam jedenaście dni, po dziewiętnastu latach. W ciągu tego nieproporcjalnego nieco pobytu widziałam osiem przedstawień teatralnych, co może się wydawać na pierwszy rzut oka sporą ilością. Dzisiaj jednak w Warszawie, której połowa jest jeszcze ruiną, a połowa bardzo wielkim miastem, miastem nieporównanie bardziej metropolitalnym, niż kiedykolwiek przedtem, jest teatrów dramatycznych czternascie. Większość ma w bieżącym repertuarze po dwie trzy sztuki, więc osiem przedstawień to istotnie bardzo niewiele. Przy tym koniec czerwca to koniec sezonu, teatry są prawie zamknięte, rzeczy ważne już się dawno stały. Było jasne po pobieżnym nawet przejrzeniu programów ubiegłego sezonu, że to co widziałam, to był warszawskich teatrów dzień bardzo powszedni.

Nie widziałam więc najciekawszego pewno przedstawienia zeszłego sezonu: „Wizyty starszej pani" Dürrenmatta w Teatrze Dramatycznym, szwajcarskiej sztuki bardzo dużej wagi, nie wystawionej jeszcze w Londynie. Nie widziałam „Antygony" Anouilh'a, ani „Szwejka" Brechta w tym samym teatrze, ani w Teatrze Współczesnym „Naszego miasta" Wildera w reżyserii Axera i „Pastorałki" Schillera w reżyserii Perzanowskiej, ani w Narodowym sztuki Wojciecha Bogusławskiego „Henryk VI na łowach", ani „Marii Stuart" Słowackiego w Teatrze Polskim.

Z przedstawień widzianych ciekawy był pacyfistyczny spektakl „Wojny i pokoju" Tołstoja w wersji Piscatora w reżyserii Ireny Babel w Teatrze Powszechnym. Tołstoj niewątpliwie uproszczony, sprowadzony do konfliktu między sprawami publicznymi i prywatnymi, ale mimo to płynący wielką falą przez scenę i nawet przez historię. Ciekawi młodzi aktorzy: Tadeusz Bartosik — Bezuchow i Janina Nowicka — Natasza.

W tym samym teatrze „Zaklinacz deszczu" Nasha, potraktowany zupełnie inaczej niż na Zachodzie, bo to nie dramat, lecz komedia. Zabawa, choć nieco powolna w pierwszym akcie, robi się coraz lepsza, w końcu jest wypunktowana niemal jak balet. Reżyseruje i gra doskonale Zaklinacza Adam Hanuszkiewicz, aktor obdarzony osterwowskiego typu urokiem.

„Amfitrion" Moliera w Teatrze Współczesnym grany jest w starym tłumaczeniu Zabłockiego, tłumaczeniu tak pięknym, że zupełnie nie żal Boya. Tylko szkoda, że reżyser Jerzy Kreczmar i scenograf, Władysław Daszewski utknęli w połowie drogi między czarującą podwójnością Wersalu Ludwika XIV i Warszawy Stanisława Augusta a dosłownością tekstu i intrygi.

„Maskarada" Lermontowa w Teatrze Polskim w reżyserii Władysława Zawistowskiego, jest wystawiona w stylu teatralnego neoromantyzmu międzywojennego. Bardzo piękne dekoracje Otto Axera niewiele mają jednak wspólnego z treścią sztuki i przedstawieniem. Z nowych dla mnie aktorów bardzo interesująca jest liryczna Raciszówna.

O „Norze" w Teatrze Kameralnym (filii Teatru Polskiego) w reżyserii Marii Wiercińskiej trudno mi pisać jako osobie zupełnie nie znoszącej Ibsena, ale warto było zobaczyć Barszczewską, pełną siły, wyzwoloną z liryzmu, zupełnie inną.

Wreszcie — w Teatrze Dramatycznym: „Policja, dramat ze sfer żandarmeryjnych" Sławomira Mrożka, apokaliptyczna kpina z idei policji „jako takiej".

Teatry same są przede wszystkim odpoczynkiem po londyńskich i paryskich pluszach. Większość nowych teatrów ma widownie ogołocone z tapicerii, robocze. Białe, albo prawie białe, z reflektorami, umieszczonymi jak najoczywiściej, są te widownie podobne do czystych, dobrze rozwiązanych laboratoriów raczej, niż do absurdalnie skoncentrowanych dziewiętnastowiecznych salonów, w których siadujemy w teatrach londyńskich. Kilka warszawskich teatrów jest po prostu podobnych do dawnych siebie: Polski, Narodowy, Ateneum. Co do tych teatrów, które mieszczą się w Pałacu Nauki i Kultury, niestety, wszystko, co napisano o architekturze i wnętrzach tego budynku, odnosi się także i do nich.

Charakter każdego z teatrów trudno było odczytać z jednego czy dwu przedstawień, a nawet z listy repertuaru sezonu i z bardzo dobrych programów (najambitniejsze, choć może najmniej teatralne, najbardziej literackie są „Listy Teatru Polskiego", ale wszystkie dają użyteczne wprowadzenie do przedstawień). Jeszcze trudniej było zrozumieć w tak krótkim czasie całość, powiązania i paralele. Uwagi te nie są więc sądami, lecz tylko wrażeniami widza, wzruszonego Warszawą i warszawskim teatrem.

Temperatura życia teatralnego wydaje się wysoka, może to być zresztą temperatura całego życia. Kryzys wydaje się permanentny, kryzys obecnych, wynikający z tego, że się masa rzeczy dzieje, nie kryzys nieobecności. Między innymi „dziejącymi się" rzeczami Warszawa jest pełna teatrów obcych: bardzo niedawno Barrault, Teatr Satyry z Moskwy, a w czasie mego pobytu Piccolo Teatro z Mediolanu i teatr Buriana z Pragi.

Wracając do kryzysów: jest tak zwany kryzys frekwencji, oczywiście bardzo względny. Teatry polskie po 1945 roku były przez długie lata pełne z przyczyn, z których wiele mało miało wspólnego z samym teatrem. Wszyscy chodzili na wszystko — to prawie prawda. Obecnie po prostu bardzo liczna widownia wypełnia wiele przedstawień i widzowi z zagranicy sytuacja wydaje się zupełnie normalna. Ostatecznie, jeżeli widzom się przedstawienie nie podoba, to na to nie ma rady i trzeba próbować na nowo. Przy ograniczonej „wiośnie" nawet widz może mieć chyba prawo wyboru. I chyba jest to komplementem dla teatrów, że karmiąc tego widza przez dłuższy już okres czasu, doprowadziły go do stanu, w którym chce wybierać. Przecież restauracje z długą, jeśli nawet nie zawsze ciekawą listą potraw, są rzeczą przyjemniejszą niż stołówki.

Bardziej specyficzny niepokój związany jest z nikłym ponoć zainteresowaniem teatrem, przejawianym przez młodzież. Tak się złożyło, że na większości przedstawień siedziałam koło, a nawet między młodymi bardzo ludźmi i te piętnastoletnie panny czy siedemnastoletni chłopcy byli bardzo u siebie w domu, nie celebrowali wizyty do teatru, śmiali się i nie śmiali w sensownych momentach, robili za dużo hałasu. Zbieg okoliczności? Pewno, może nawet sześć czy siedem zbiegów okoliczności, ale bardzo miłych.

Kryzys finansowy jest odczuwany i opisywany jako dyktatura buchalterów. Pieniądzy na teatry, jak i na „kulturę" w ogóle jest teraz mniej, ich przydział i rozdział jest w dużej mierze w ręku resortów gospodarczych, których posunięcia są rządzone racjami najczęściej pozateatralnymi. Szereg teatrów odpaństwowiono, przeszły pod administrację miasta. Mówi się o konieczności podwyższenia cen biletów, które są istotnie niskie, a także o pewnych redukcjach zespołowych.

Trochę niepokojące wrażenie robią bardzo częste zmiany personalne w dyrekcjach teatrów. Oglądanie programów teatralnych za ubiegły rok przypomina kręcenie kalejdoskopem: ci sami ludzie w coraz innych miejscach i coraz inni ludzie w coraz innych miejscach. To zjawisko nie jest zresztą fenomenem specjalnie teatralnym: przestudiowanie składu personalnego wielu instytucji krajowych w ciągu ostatnich dwu lat dałoby pewno podobne rezultaty. Tylko jasne, że sprawy kształtowania zespołów muszą być w tych warunkach niezmiernie trudne.

Wszystkie te trudności są bardzo prawdziwe i bardzo poważne, ale dotyczą one teatru-instytucji, są trudnościami średniego rzędu. Trudności, dotyczących istoty teatru, jest oczywiście masa. I tak, żeby wymienić tylko najbardziej rzucające się w oczy...

Skargi na eklektyzm. Może są one częciowo nieporozumieniem, wynikłym z „wybuchu" repertuarowego w ciągu ostatnich paru lat. Repertuar rozszerzył się ogromnie, rozszerza się jeszcze, nie tylko o nowe sztuki zachodnie, ale i o współczesne sztuki polskie, których albo nie można było wystawić, albo nie można było napisać, a także sięga w przeszłość własną i obcą. To chyba truizm, że tak różnorodny repertuar musi mieć różne teatry, jeśli ma mieć sens. Przecież sam repertuar współczesny z jego co najmniej trzema nurtami: metafory, psychopatologii i absurdu, wymaga trzech różnych teatrów.

Wydaje mi się, że te odrębne i często przeciwstawne nurty traktowane są zbyt podobnie, a nie zbyt różnie. To podobieństwo, ta pewna monotonia, a także niewyrównany poziom wielu przedstawień, przy oczywistej dużej inwencji reżyserskiej i scenograficznej, wynika chyba z niesprostania sytuacji przez aktorów. Młodzi aktorzy rozwijali się pod nieprzyjaznymi ciśnieniami, w atmosferze braków i dezorientacji. Są wyraźnie niedouczeni, i kulturalnie i technicznie, mówią na ogół źle wiersz, a doskonałość dykcji jest na scenach warszawskich proporcjonalna do wieku aktora. Bardzo im trudno uchwycić styl inny, niż specyficznie polska odmiana impresjonistycznego realizmu, realizmu leniwego szkicu. Wielu z nich wykazuje zupełny brak spokoju, ruchy kobiet są zbyt często ruchami subretek, a ruchy mężczyzn zabawą w wojsko. Na wyrównanie poziomu trzeba, między innymi warunkami, czasu: podczas gdy większość reżyserów warszawskich to ludzie, którzy otrzymali formalne wykształcenie zawodowe przed wojną i dla których rozszerzenie repertuaru i możliwości było sprawą zapełnienia luk i nawiązania, młodzi i nawet średnio już dziś młodzi aktorzy, to pokolenie wojenne i powojenne.

Z racji niedostatków aktorskich najtrudniej chyba jest w tej chwili wystawić dramat „odczłowieczony", powiedzmy Jonesco. Wydaje się omal, że w obecnym stanie rzeczy lepiej byłoby takie sztuki grać w teatrach lalek, które powinny mieć mniej trudności z utrzymaniem dystansu i uniknię-

(Dokończenie obok)

ciem wszelakich aur i atmosfer. Takie miałam wrażenie, patrząc np. na bardzo zabawną „Policję“ Mrożka. Przedstawienie zaczęło się doskonale, po to tylko, żeby się pod koniec przeobrazić aktorsko w jakąś soczystą groteskę, niemal z „Dam i Huzarów“.

Ciekawym komentarzem do sytuacji aktorskiej i odpowiedzią nań ze strony widowni jest niewątpliwy kult gwiazd. Publiczność chodzi na „Fredrę“, żeby zobaczyć Eichlerównę, na „Norę“ dla Barszczewskiej, na „Marię Stuart“ dla Andryczówny.

Na tym tle dużą było przyjemnością słyszeć, że jednym z najciekawszych aktorsko przedstawień sezonu było przedstawienie warsztatowe słuchaczy warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, którzy pokazali „Tramwaj zwany pożądaniem“. Chyba nie tylko dlatego zrobili to dobrze, że właściwie cały ten psychopatologiczny dramat jest bardzo bliski tradycjom młodopolskim?

Ciekawe, że to przedstawienie było grane w prawie że tylko zamarkowanych dekoracjach, sukces więc był rezultatem pracy reżysera z aktorami, podczas gdy w większości warszawskich przedstawień rola scenografa jest ogromna. Zrozumienie zasadniczego znaczenia inscenizacyjnego scenografii leży w naszej tradycji teatralnej, ale dalszy i ciągły rozrost roli scenografa i elementów plastycznych przedstawienia ma może też jakiś związek z niedostatkami aktorskimi?

Krystyna Borowska

WYDAWNICTWA DAWNEJ MUZYKI POLSKIEJ

Grono wybitnych muzykologów i kompozytorów, stanowiących z Tadeuszem Ochlewskim na czele zespół Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, prowadzi w Krakowie nader owocną a pozbawioną przy tym rozgłosu działalność wydawniczą poświęconą publikacjom muzycznym. Wydawnictwa PMW mają przede wszystkim dwie, nie często idące z sobą w parze zalety: są niedrogie a mimo to przyjemne dla oka. Dbałość o ładne wydanie uderza w najtańszych nawet książeczkach, zaś prawdziwy już podziw budzi swoją oprawą graficzną seria obejmująca polskie pieśni ludowe, a także piękny zbiór kolęd. Oba te wydawnictwa zilustrowane są bardzo pomysłowo elementami sztuki ludowej, co słusznie podkreśla m. in. Tadeusz Chrzanowski w swojej „Pochwale wydawnictwa“ umieszczonej w nr. 21 (487*) krakowskiego „Tygodnika Powszechnego“, a skierowanej zarówno do zespołu redakcyjnego, jak i do współpracujących z nim polskich grafików.

Wśród wielu wartościowych pozycji wydawniczych PWM na specjalną uwagę zasługują publikacje poświęcone dawnej muzyce polskiej, tym cenniejsze, że tyle wymagają mozolnej pracy i uciążliwych poszukiwań, tak wielce utrudnionych wobec spustoszeń, jakich dokonała wojna w niejednych zbiorach bibliotecznych. Wydano więc pracę zasłużonego muzykologa (obecnie profesora muzykologii na Uniwersytecie Warszawskim) ks. dr. Hieronima Feichta: „Polifonia renesansu“, będącą znakomitym kluczem do zrozumienia polifonii i kontrapunktu muzyki Odrodzenia. Jest ona napisana językiem literackim; ze względu na swoje nad wyraz proste i jasne ujęcie — może służyć do nauki nie tylko w wyższych klasach kompozycji, lecz także i w szkole średniej.

Drugą, nie mniej cenną, pozycją jest książka Z. Szweykowskiego omawiająca problemy „Kultury wokalnej XVI-wiecznej“; trzecią: „Muzyka polskiego Odrodzenia“ w opracowaniu Józefa Chomińskiego i Z. Lissa. Dzieło to zawiera — oprócz tekstu — materiał nutowy 68 utworów z XVI i XVII wieku: na zespoły instrumentalne, chór, organy, klawesyn, lutnię. Zdobią je liczne ilustracje instrumentów muzycznych według rzeźb Wita Stwosza (1489).

W roku 1949 Polskie Wydawnictwo Muzyczne wydało pracę prof. Adolfa Chybińskiego: „Dawna muzyka polska“.

W wydanym materiale nutowym wysuwają się na czoło utwory z epoki Renesansu: Bartłomieja Pękiela — słynna „Missa pulcherrima“ i o wielkiej wartości artystycznej kantata „Audite mortales“ — na 2 głosy sopranowe, 2 kontralty, tenor, bas, z akompaniamentem 2 wioli, organów i wiolonczeli. Zdzisław Jachimecki, w swej książce „Muzyka polska w rozwoju historycznym“, podkreśla nie tylko nieprzemijające piękno tej kantaty, lecz również i jej wartość historyczną — jako pierwszej znanej kantaty wieloczęściowej o tekście łacińskim (str. 210). Była ona wykonana we Lwowie na koncercie w czasie uroczystości setnej rocznicy urodzin Chopina.

PWM wydało też „40 utworów na lutnię“ i „Dwie kolędy łacińskie“. Zeszyty PWM — to kopalnia zagrzebanych w niepamięci skarbów dawnej muzyki polskiej. Poczesne między nimi miejsce zajmują utwory Wacława z Szamotuł Szamotulczyka, jednego z najznakomitszych kompozytorów dawnych czasów (połowa XVI wieku), a więc: „In te Domine speravi“ (1554) i inne. Mamy tu także Tadeusza Szadka: „Dies est lactitiae“ (1578) — msza 4-głosowa, oparta na ulubionej w XVI wieku pieśni kolędowej o tej nazwie.

PWM wydało także kilka dzieł Mikołaja Zieleńskiego, najwybitniejszego reprezentanta muzyki kościelnej wokalno-instrumentalnej, o którym Z. Jachimecki mówi: „Całość dzieła Mikołaja Zieleńskiego mieści w sobie tak wielką sumę wysokich i najwyższych zalet artystycznych, jest wyrazem osobistości tak pierwszorzędnego rodzaju, że po 336 latach od ukazania się jego „Offertoriów“ i „Communiów“ mamy prawo uważać je za jeden z najbardziej reprezentatywnych pomników muzycznych epoki, kompozytora zaś ich możemy uznać za największego ze wszystkich polskich twórców muzycznych przed Chopinem“. („Muzyka polska w rozwoju historycznym“, str. 177.)

Twórczość Zieleńskiego ceniono wysoko zagranicą, zwłaszcza we Włoszech. Jego „Offertoria Communiones totius anni“ wydane były w Wenecji w 1611 roku.

Dla uzyskania efektów kolorystycznych dzwięku — Zieleński używa kilku zespołów chóralnych, a podstawę każdego chóru stanowi akompaniament odrębnych organów. Z tego względu, o warunki do wykonania „Offertoriów“ Zieleńskiego łatwiej było na sali koncertowej niż w kościele (wg. Jachimeckiego tylko kościół św. Marka w Wenecji ma odpowiednie po temu warunki). Szczytem techniki polichóralnej Zieleńskiego jest „Magnificat“ na 3 chóry 4-głosowe, w których zadziwia różnorodność w wymianie motywów chóralnych, gra subtelnych efektów i zmian.

Dzieła Zieleńskiego potwierdzają całkowicie opinię muzykologów, iż muzyka polska tego okresu poziomem swym nie tylko dorównywała współczesnym osiągnięciom muzycznym za granicą, ale że nieraz i przewyższała je nawet.

W Londynie, gdzie mamy Centralę Związków Chóralnych i doskonałych dyrygentów, warto byłoby zapoznać naszych śpiewaków z utworami Zieleńskiego. W roku bieżącym PWM wydało jego „Domus mea“ — na chór i organy, a w roku 1957: „Excitt sermo inter fratres“; „Si consurrexistis cum Christo“ — na głos z fortepianem — i „Vox in Roma“.

Należy tu wreszcie zwrócić uwagę na „Melodie na psałterz polski, przez Mikołaja Gomółkę uczynione“ (1580) — na 4-głosowy chór mieszany, 150 małych arcydzieł o wielkiej skali wyrazu lirycznego, ze słowami Jana Kochanowskiego. Zdaniem Jachimeckiego —jest to największy i najpiękniejszy druk muzyczny wykonany w Krakowie w ciągu XVI wieku.

Typowym muzykiem Renesansu o szerokich uzdolnieniach jest Adam Jarzębski (1590-1649), świetny polifonista i kompozytor utworów programowych, kameralnych i orkiestrowych. Mówi się o nim, że stworzył nowożytną epokę w dziejach polskiej muzyki instrumentalnej. Kilka koncertów Jarzębskiego (w opracowaniu Z. Jachimeckiego) wykonano na koncertach historycznych w Polsce (1910 r.) i w Anglii. PWM wydało jego koncert na dwoje skrzypiec, wiolonczelę i klawesyn pt. „Bentrovata“, koncert chromatyczny, koncert „Nova casa“ i „Tamburetta“.

Adam Jarzębski, noszący tutuł muzyka i budowniczego królewskiego, dożywotni wójt we wsi podwarszawskiej Piaseczno, był znaną osobistością ówczesnej Warszawy zdolnym architektem i autorem dość słabego pod względem literackim ale bardzo popularnego poematu o Warszawie, noszącego tytuł „Gościniec, albo opisanie Warszawy“ (1643), w którym znajduje się ciekawy dzisiaj opis pierwszej polskiej sali operowej, zbudowanej w Warszawie na zlecenie króla Władysława IV.

Między utworami dawnej muzyki polskiej, wydanymi przez PWM wymienić też należy utwory Jacka Różyckiego, kapelmistrza na dworze Jana Kazimierza i Jana III Sobieskiego. Są to: „Hymni ecclesiastici“ i „Concerto Magnificemus in Cantico“, a także utwór S. S. Szarzyńskiego, który uważany jest za najpoważniejszego kompozytora w ostatnich dziesiątkach lat wieku XVII. Dzięki PWM ukazały się drukiem jego koncerty: „Ave Regina“, „Jezu spes mea“, „Pariendo non gravaris“ oraz sonata na dwoje skrzypiec i organy.

Do unikatów zabytkowych polskiej muzyki barokowej należy „Aria wokalna na cześć Jana Kazimierza“ wydana przez miasto Gdańsk a odnaleziona w bibliotece uniwersyteckiej w Toruniu. Wykonano ją 16 września 1668 roku w Warszawie na dworze królewskim, w obecności przedstawicieli stanów, na uroczystości pożegnalnej ostatniego z Wazów. Utwór ten umieszczono w majowym numerze „Ruchu Muzycznego“ w roku bieżącym.

Zespół miłośników muzyki, pracujących w Polskim Wydawnictwie Muzycznym nie szczędzi trudów nad utrwaleniem dzieł i zabytków polskiej kultury muzycznej.

Stefania Niekraszowa

PODBÓJ I PRZEWRÓT

Chciałbym poruszyć tu kwestię, która nie jest w tej chwili ściśle biorąc nasza. Ale jest to sprawa, która w określonych warunkach może stanąć (i czasem staje) przed katolikiem każdego narodu. Mówię o zagadnieniu posłuszeństwa wobec bezprawnej władzy. A niedawne wydarzenia w świecie — przewrót we Francji, oraz jego źródło: przewrót w Algerii, wojna domowa w Libanie, oraz nie mniej charakterystyczny przewrót w Iraku — czynią tę sprawę szczególnie aktualną, zmuszając także i nas do zastanowienia się nad tym: gdzie jest słuszność i komu trzeba w duchu sprzyjać.

Rysują się tu w istocie trzy zagadnienia odrębne. O ile najeźdźca i zaborca może być uważany za władzę prawowitą? O ile może być za nią uznany rząd uzurpatorski? I o ile można czy też należy odmawiać posłuszeństwa władzy bezwzględnie prawowitej, ale złej, lub nie spełniającej swoich zadań, na przykład zdegenerowanej monarchii, albo takiej republice, która wpadła w bezwład i anarchię?

Odpowiedź generalna musi brzmieć, że wszystkie te sytuacje muszą być oceniane w świetle obowiązujących zasad, ale w stosowaniu tych zasad trzeba unikać nieżyciowego doktryneryzmu. Czasami trzeba się pogodzić z mniejszym złem, po to, by uniknąć większego. Nieraz trzeba stwierdzić, że upływ czasu rodzi prawa i obowiązki, wyrosłe w dobrej wierze.

Protestant, wychowany w dobrej wierze w religii protestanckiej, nie jest winien temu, że jego przodkowie popełnili odstępstwo od Kościoła. On sam nie jest odstępcą, jest po prostu wyznawcą innej religii. Tak samo Amerykanin, urodzony i mieszkający na prerii, ongiś odebranej w sposób bezprawny Indianom, nie ponosi odpowiedzialnoci za winy swoich przodków i posiada prawa nabyte w odniesieniu do owej prerii, wynikające z zamieszkiwania na niej od szeregu pokoleń, z włożonej pracy itd. Obowiązek restytucji zawsze obciąża winowajcę, ale w następnych pokoleniach nie obowiązuje on już w tym samym stopniu, a najrozmaitsze okoliczności uboczne zmniejszają go i mogą nawet go eliminować całkowicie. Obowiązek ten nie może prowadzić do absurdów: na przykład nie można wymagać, by miliony ludności, żyjącej na obszarze, będącym ongiś własnością skrzywdzonego lub wyrżniętego plemienia, które składa się dziś z tysięcy głów, miały zwracać temu plemieniu swoje terytorium; mogą sobie z tego nie robić skrupułów. Żyjący dziś ludzie mają prawo do życia i do źródeł utrzymania i prawo to przeważa nad przedawnionym tytułem do restytucji z powodu winy ojców, czy pradziadów.

Rozpatrzmy najpierw zagadnienie najeźdźcy. Bezprawny najazd jest zawsze rzeczą niedopuszczalną. Ale czy skutki najazdu, z chwilą, gdy on już nastąpił, mogą się utrwalić? Ważna to sprawa w stosunkach kolonialnych i nie tylko w nich jednych.

Myślę, że na pytanie to trzeba odpowiedzieć twierdząco. Oczywiście nie muszą. Ale z pewnością mogą. Gdyby było inaczej, Francja, powstała przez najazd Rzymian na Galię, oraz Anglia, będąca owocem najazdu Anglosasów na Brytonów, a potem Normanów na Anglosasów, nie miałyby praw do swoich terytoriów. Jest to oczywisty absurd. Jest rzeczą oczywistą, że Rosja ma prawo zachować Syberię, Niemcy — ziemię Lutyków, Obotrytów i Sorbów (to znaczy Brandenburgię, Holsztyn, czy Saksonię), Turcja — Stambuł, biali Meksykanie — Meksyk, Arabowie — Egipt i Maroko. Ale oczywiście dotyczy to tylko wypadków, gdy przemiana rzeczywiście dokonała się w sposób pełny. Trudno mówić, by Holendrzy mieli, po trzech wiekach panowania, prawo do zachowania wyspy Jawy, skoro zupełnie jej nie zdołali przetworzyć w swoim duchu i skoro pozostała ona, tak jak była, krajem malajskim i muzułmańskim, usposobionym wobec Holandii wrogo. Mam nawet wątpliwości, czy Arabowie mają po z górą tysiącu lat prawo do zachowania Libii. Wprawdzie uczynili ją krajem arabskim, ale zarazem zamienili ją w pustynię. Ich wielbłądy zniszczyły górną warstwę urodzajnej gleby i kraj, który za rzymskich czasów był śpichlerzem Rzymu i miał kilka milionów ludności ,jest dziś w najlepszym razie krajem pasterskim i ma jej ledwie koło miliona. Tak utrwalony najazd wiele zburzył, ale nic nie zbudował i wydaje mi się, że Włosi, spadkobiercy Rzymian, mieli całkiem rzetelne prawo starać się odzyskać i odbudować prowincję, w której tyle było pustego miejsca dla ich osadników i w której tyle odgrzebywali ruin rzymskich miast i chrześcijańskich kościołów.

Z drugiej strony, istnieją wyjątkowe sytuacje, gdy zapomniane prawa się odradzają. W normalnych warunkach, Polska nie miałaby prawa wypędzić Niemców ze Szczecina, a nawet z Wrocławia, ale w wyjątkowej sytuacji 1945 roku mogła to śmiało uczynić. Powrót Żydów do Palestyny po blisko 2000 lat nieobecności i z pogwałceniem praw ludności siedzącej tam od równie dawna, jest na pierwszy rzut oka bezprawnym najazdem. Ale Żydzi mają tak nieprzedawnione prawo do Ziemi Świętej i tak brak im jest jakiegokolwiek innego miejsca pod słońcem, gdzie mogliby żyć swoim życiem narodowym, że niesposób im w generalnych liniach odmawiać prawa do tego, co zrobili i osiągnęli, choć może należałoby zakwestionować w tym niejeden szczegół. Hiszpanie także mieli prawo, po siedmiuset latach, odzyskać Granadę i wygnać z niej Maurów. I gdyby Grecy zdołali w jakiejś wielkiej zawierusze dziejowej wyrzucić Turków z Konstantynopola, trzeba by im przyznać, że mieli po temu tytuły. Ale dzisiaj, prawowitymi gospodarzami w Stambule są Turcy, prawowitymi gospodarzami w Granadzie przed 1942 rokiem byli Maurowie, we Wrocławiu przed 1945 rokiem Niemcy, a w Jaffie przed 1948 rokiem Arabowie.

Czy Francja ma moralne prawo do posiadania Algerii? Jest to niewątpliwie sprawa skomplikowana. Genezą panowania francuskiego był — w roku 1830 — czysty najazd. Ale, po pierwsze, najazd ten nie był pozbawiony uzasadnień. Świat łaciński nigdy nie zapomniał, że Afryka Północna, ojczyzna św. Augustyna, była ongiś krajem chrześcijańskim i w znacznym stopniu łacińskim i że Arabowie byli w niej najeźdźcami. Porty algerskie pod rządami muzułmanów były gniazdem rozbójników morskich, dających się we znaki całemu Morzu Śródziemnemu i zasługujących na to, by im w końcu sprawić nauczkę. Po wtóre, najazd francuski miał miejsce 128 lat temu i już się nieco utrwalił, zwłaszcza, że Algeria nie była krajem o skrystalizowanym obliczu historyczno-narodowym i łatwo było ją ulepić w nowe polityczne formy. Wyrosła w Algerii mniejszość francuska — półtora miliona chrześcijańskiej ludności na osiem milionów muzułmanów — w sposób oczywisty mniejszość, ale jednak bądź co bądź dość duża ludzka masa, od trzech czy czterech pokoleń w glebę miejscową wrośnięta, przybyła tu częściowo w roli ofiar innego najazdu (jako wysiedleńcy z Alzacji i Lotaryngii po 1871 r.) i mająca prawo do egzystencji. W walkach szczepowych arabsko-berberyjskich niektóre plemiona oparły się o opiekę francuską i mocno się z Francją zrosły. Francja ma wielką zdolność asymilacyjną i liczne żywioły algerskie, mimo że trwają przy swojej wierze i języku, są już w pełnym biegu procesu asymilacji. Wielu Algerczyków, na przykład eks-żołnierzy armii francuskiej, uważa się już w pewnym stopniu za Francuzów.

Jak więc kwestię rozstrzygnąć? Wydaje mi się, że oba rozwiązania: niepodległość algerska i Algeria włączona w życie francuskie są w dzisiejszej sytuacji moralnie jednakowo dopuszczalne i obie strony mają moralne prawo walczyć o urzeczywistnienie swojego rozwiązania.

Tak samo i w odniesieniu do rządu uzurpatorskiego na wewnątrz niesposób trzymać się rozstrzygnięć po doktrynersku prostolinijnych. Weźmy na na przykład kwestię rządów pomajowych w Polsce. Z punktu widzenia prawnego i moralnego były to niewątpliwie rządy uzurpatorskie. Doszły one do władzy drogą zamachu stanu, który pogwałcił konstytucję, pogwałcił wolę narodu, wyrażoną w wyborach powszechnych i w większości sejmowej, pogwałcił złożoną przez żołnierzy i dowódców przysięgę żołnierską, spowodował śmierć wielu setek poległych. Gdyby ktoś, w imię legalizmu państwowego, chciał obalić te rządy drogą przeciwzamachu i chciał uznać wszystkie akty prawne tych rządów za nieważne, miałby prawo to zrobić. Ale każdy człowiek rozsądny musi przecież przyznać, że państwo nie może istnieć bez rządu i że rząd nawet uzurpatorski, z chwilą, gdy został ustanowiony, jest rządem. Dopóki uzurpator nie jest obalony, ma on prawo wykonywać władzę i jego akty władzy, akty ustawodawcze i wykonawcze, są ważne. Co więcej, rząd taki może być rządem nielegalnym w oczach posła sejmowego, czy polityka, czy wreszcie w oczach niezależnej opinii publicznej, ale nie jest i nie może być rządem nielegalnym w oczach urzędnika, policjanta, czy żołnierza po ustaleniu się nowej władzy, a zwłaszcza w wypadku, gdy dany człowiek objął swoje stanowisko już po przewrocie. Przecież ten żołnierz, policjant czy urzędnik złożył przysięgę właśnie temu rządowi, od niego otrzymuje pobory i rozkazy i jemu winien jest posłuszeństwo. Nie jego rzeczą jest oceniać legalność tego rządu; gdyby każdy człowiek z osobna miał prawo to robić, wyniknęłaby z tego anarchia. Rząd, z chwilą, gdy został ustanowiony, powoli utrwala się, porasta w legalność, staje się rządem prawowitym. Być może jest złym rządem — i trzeba się do niego tak odnosić jak wedle pojęć moralnych katolickich mamy się odnosić do złego rządu. Ale może się nawet stać dobrym rządem. Albo: — najmniej złym z rządów w danej chwili teoretycznie możliwych.

Co więcej, nie każda uzurpacja formalna jest uzurpacją także i w sensie moralnym. Czasami właśnie uzurpatorzy wyrażają wolę narodu, jego rzeczywiste dążenia, jego do-

BUDUJMY, ALE CO?

ROMAN JASIEŃCZYK

Dyskusja w sprawie „starych“ i „młodych“ rozwinęła się, dość niespodziewanie, w bardzo konkretny projekt, zainicjowany przez redakcję ŻYCIA i podjęty przez p. Z. E. Wałaszewskiego, w jego artykule „De rebus emendandis“.*) Jest to projekt stworzenia „Klubu Inteligencji Katolickiej“.

Cóż, projekt jest zawsze tylko projektem. W wypadku realizacji wlać w niego można każdą treść, począwszy od „przyciągnięcia młodych“ do „Veritasu“ i podparcia na jakiś czas tej, dosyć właśnie klubowej organizacji, poprzez stworzenie całkiem nowego „klubu“, wraz ze wszystkimi znanymi atrakcjami, jak: zjazdy, wybory, komitety, komisje, zarządy, rozgrywki, dywersje, rozłamy i jednocześnie, aż do tego, co istotnie jest potrzebne: do zbudowania czegoś naprawdę użytecznego, potrzebnego.

Zacznę od sprawy nazwy. Osobiście klubów nie lubię. Kojarzy mi się nazwa „klub“ z głębokimi fotelami, dymem papierosów, jałowymi dyskusjami i pracowitym nicnierobieniem. Zwłaszcza kluby „inteligencji“ polskiej tak się lubiły prezentować. Nie lubię też słowa „inteligencja“ w znaczeniu warstwy ludzi wykształconych. Wielu z nich jest bardzo nieinteligentnych, a wielu ludzi inteligentnych nigdy nie otrzymuje wykształcenia. Jest to słowo zarozumiałe i nietrafne. Zaś „Klub Inteligencji Katolickiej“, jako nazwa, razi mnie podwójnie: raz, jako „klub“, po drugie, ponieważ sugeruje (zapewne wbrew intencjom projektodawców) pewnego rodzaju „splendid isolation“ takiego stowarzyszenia, co nikomu na dobre by nie wyszło.

Nie da się zastąpić słowa „inteligencja“ słowem „intelektualiści“, ponieważ to wcale nie znaczy to samo. A przecież chodzi o zrzeszenie ludzi wykształconych, a nie koniecznie intelektualistów (chociaż i ich także, oczywiście). A więc, co zrobić? Bo sam projekt może być użyteczny.

Proponowałbym „Związek Katolicki“ — tout court. Nie przesądzajmy, może kiedyś obejmie on i warstwy nie posiadających wykształcenia średniego? Zacznijmy, jeśli trzeba, od ludzi wykształconych. Jeżeli uda nam się coś naprawdę pożytecznego zrobić, rozszerzymy to i na resztę społeczeństwa, bo dobrych rzeczy nie trzeba skąpić innym.

A teraz w sprawie samego budowania. Przypomina mi się bajka o człowieku ubogim, który zapragnął mieć własny pałac. Zabrał się więc do ciężkiej pracy, aby zaoszczędzić na jego zbudowanie. Po wielu latach oszczędzania zaczął budować. I znów, przez wiele lat, wybudował wspaniałą fasadę. Ale na dobudowanie do niej samego pałacu zabrakło mu sił i środków. Wobec czego ogrodził cały tył i boki swej budowli, zbudował wewnątrz małą budkę i w niej mieszkał, a ludziom mówił, że jego pałac jest równie wspaniały w środku, jak i na zewnątrz.

To jest właśnie moja główna obawa w związku z pięknym projektem ŻYCIA. Klub, czy Związek, ktoś to musi zrobić. Jeśli ŻYCIE nie daje sobie rady, jeśli „Veritas“ i Iuventus Christiana nie wypełniają swych zadań dostatecznie (a chyba nie wypełniają, skoro trzeba „klubu“), to kto ma podjąć się nowego dzieła? Nie sztuka wybudować nową, wspaniałą fasadę, choć i to przecie wymaga wysiłku. Sztuka zbudować, nawet na mniejszą skalę i nawet bez tworzenia czegoś bardzo nowego, prawdziwy instrument idei, którą chcemy zrealizować, ponieważ uważamy ją za słuszną i jedyną.

Są tu więc dwa zagadnienia: jedno, co to za idea, drugie, jak ją wprowadzić w życie.

Z dyskusji dotychczasowej wynika, że wszyscy chcemy scalenia wysiłków starych i młodych, ludzi dobrej woli, dla rozwijania, pogłębiania, przyswajania sobie i pielęgnowania myśli katolickiej. Że chcemy wcielania tej myśli w czyn tworzący katolicką rzeczywistość cywilizacyjną, w najszerszym rozumieniu, wśród społeczeństwa polskiego na emigracji, z myślą także o Kraju. Że chcemy w ten sposób przyczynić się do odbudowy Polski we wszystkich dostępnych nam dziedzinach. To zdaje się być naszą ideą. Różnice dotyczą głównie wykonania. Niektórzy „starzy“ chcieliby nadal „przewodzić“ i skłonni są wszystkich choćby niewiele młodszych od siebie, traktować jako niedojrzałą młodzież. Inni godziliby się na koncesje personalne w kierunku „młodszych“, ale wyobrażają sobie całość zadania jako kontynuację starych wzorów pod nową nazwą i przy pomocy zwiększonych i odmłodzonych szeregów. Inni wreszcie chcieliby ratować co się da za wszelką cenę. Młodzi, niektórzy, chcieliby przede wszystkim wejść nareszcie tam, gdzie dotąd ich nie dopuszczali seniorzy, uważający się za genialnych. Inni, chcieliby „starszych“ wypchnąć. Jeszcze inni chcieliby jakiejś roboty z sensem.

W sumie, spodziewać się można, że realizacja projektu oznaczać może wielki chaos, w którym zatracić się może cały sens, cała idea. Zwłaszcza, gdyby zacząć od fasady: od zjazdów, dyskusji, komitetów itp. Nie znaczy to, żebym był przeciwny pomysłowi klubów dyskusyjnych, czy form organizacyjnych. Wydaje mi się tylko, że zacząć należy od rzeczy konkretnych, od konkretnej akcji. Zwłaszcza tam, gdzie ta akcja jest nagląco potrzebna, np. w sprawie pisma. ŻYCIE jest zagrożone. Stało się to dzięki ideowym i fachowym brakom dotychczasowych redaktorów, którzy może byli najlepsi w warunkach przedwojennych i wojennych, ale nie zdołali dostosować się do nowych, emigracyjnych warunków i potrzeb. Kryzys ŻYCIA ma to samo źródło, co kryzys zaufania między młodymi i starymi. Jeśli pismo ma ten kryzys usunąć i jednocześnie samouratować się od zagrażającej mu likwidacji, to pierwszym naszym zadaniem winno być jego przebudowanie, takie, które by je postawiło na nogi finansowo, upowszechniło wśród szerokich warstw czytelników oraz uczyniło skutecznym instrumentem idei. Pismo takie, jako wspólna trybuna dla dyskusji, byłoby z natury rzeczy zapoczątkowaniem pomysłu nowego związku, gdyż wokół niego i wokół wyrażanej na jego łamach

(Dokończenie na stronie 28)

*) ŻYCIE nr 7 (556)

---

bro moralne i jego sumienie. Uczestnicy powstania narodowego w Hiszpanii w roku 1936, którzy przeciwstawili się zaczynającej się rewolucji komunistycznej, mieli po swojej stronie wszystkie wyżej wymienione czynniki, mieli także i większość głosów w ostatnim głosowaniu powszechnym, chociaż nie mieli tytułu formalnego, otrzymanego w wyniku działania maszyny konstytucyjnej. Maszyna ta działała na rzecz przewrotu komunistycznego i stopniowo przygotowywała go. Jest rzeczą jasną, że generalicja hiszpańska i zorganizowane siły polityczne hiszpańskiej prawicy miały prawo temu przeszkodzić. Hiszpański rząd republikański był rządem formalnie legalnym, ale był w sposób oczywisty złym rządem, zasługującym w imię najgłębiej pojętego dobra Hiszpanii, na usunięcie.

Jest to zasada teologii moralnej że naprawdę zły (tyrański) rząd wolno jest obalić. Ograniczona ona jest jednym zastrzeżeniem: że nie wolno narazić kraju na klęski jeszcze większe od tych, które chciało się usunąć. Jak powiada św. Tomasz z Akwinu: „perturbatio huius regiminis non habet rationem seditionis; nisi forte quando sic inordinate perturbatus tyranni regimen quod multitudo subiecta maius detrimentum patitur ex perturbatione consequenti, quam ex tyranni regimine“. (Summa Theologica, secunda secundae, qu., 42, p. 2. „Obalenie takiego rządu nie jest aktem wywrotowym; z wyjątkiem wypadku, gdy dokonywa się w sposób tak nieporządny, że ogół cierpi więcej szkód od zaburzenia niż od rządu tyrańskiego“).

Nasuwają się w związku z tym wnioski praktyczne, dotyczące naszego stosunku do rządów komunistycznych w Polsce.

Rząd komunistyczny w Polsce w całej pełni podpada pod pojęcia rządu tyrańskiego w rozumieniu św. Tomasza. Rząd ten powstał z uzurpacji, i to przy pomocy cudzoziemskich bagnetów. Nie wyraża on uczuć i ideałów narodu polskiego, który jest narodem na wskroś katolickim i któremu doktryna komunistyczna jest wstrętna.

Rząd ten niewątpliwie wolno jest obalić. Ale można go obalić tylko mając pewność zwycięstwa. Obalenie go, wzorem węgierskim 1956 r., tylko na chwilę i po to, by wpaść w jeszcze większe klęski, jest niedopuszczalne nie tylko politycznie, lecz także i moralnie, bo naraża kraj i naród na nowe, jeszcze większe od dotychczasowych cierpienia.

A dopóki istnieje w Polsce rząd komunistyczny, urzędnik, żołnierz, policjant w Polsce obowiązany jest być mu posłusznym. Każdy Polak w Polsce winien jest opierać się rządowi komunistycznemu w podstawowych rzeczach dotyczących sumienia, np. przeciwstawiać się jego polityce religijnej, może także uprawiać bierny opór wobec jego polityki gospodarczej itp., ale opór ten nie może obejmować dziedziny porządku publicznego czy innych dziedzin, wchodzących ściśle w zakres funkcjonowania aparatu państwowego. Pełna opozycja wobec systemu komunistycznego w Polsce nie jest zadaniem Kraju, lecz zadaniem emigracji.

Polonus

JADWIGA POMORSKA

KRAKÓW W GANDAWIE

— Są! są! Są chorągwie. O! Polskiej nie ma! — sygnalizuje najmłodsza emigracja, ta, która Polski nigdy nie widziała.

Rzeczywiście, u wejścia do opactwa św. Piotra, gdzie znajduje się wystawa dużych miast, nie ma polskiego sztandaru, a inne jakoś z daleka wyglądają dziwnie. Podchodzimy bliżej.

— Jest sztandar biało-niebieski — tłumaczę — a to są właśnie kolory Krakowa. Jest herb na sztandarze, tylko bardzo prymitywny.

— Orzeł bez korony — woła ze zgorszeniem najmłodsze pokolenie, niezbyt świadome spraw historycznych, ale za to oświecone w sprawach politycznych. Oświecone do tego stopnia, że pierwszy wiersz gimnazjalny mojej córki nie opiewał ani miłości, ani natury, ale bójkę komunisty z monarchistą.

Żeby się dostać do sali Krakowa na 1 piętrze, trzeba przejść przez Utrecht, Gandawę, Paryż, Marsylię. „Przejść" znaczy obejrzeć meble, obrazy, rzeźby, srebra, książki i tkaniny tych miast, pochodzące z ich złotego okresu.

— Gdzież ten Kraków? — niecierpliwi się młoda generacja, dla której miasta zachodniej Europy nie mają tak egzotycznego uroku, jak stara polska stolica.

— Trzeba wpierw wszystko zobaczyć, żeby móc porównać — proponuję.

Aż wreszcie u szczytu schodów napis po polsku: „Kraków". A wewnątrz makieta: jak Kraków wyglądał w okresie lat 1500.

— Wisła, Wawel, Barbakan, kościół Mariacki, św. Wojciecha, św. Andrzeja, św. Idziego. Ulica Grodzka, Szewska, Bracka... — prześcigamy się w rozpoznawaniu miasta.

Belgijski strażnik zbliża się niespokojny. Wyjaśniamy mu, że chcemy tylko pokazać naszym dzieciom, gdzie mieszkaliśmy w Krakowie, sprawdzić, czy nam pamięć dopisuje. Odchodzi, a ja z kolei wskazuję dzieciom zieloną przestrzeń nad Wisłą:

— Widzicie, to „Żabikruk". Moczary i błota. Przed wojną oczywiście już ich nie było. Tam mieszkałam.

Obok makiety widok Krakowa z XVII wieku. Miedzioryt Visschera de Jonghe.

— Taki sam jest w sali Lizbony — mówi ktoś, co już wszystko „obleciał". — Identyczny. Nawet napisy takie same: „Cracovia celeberrima", a tam „Lisboa amplissima", tylko że pod tamtym napisane „szkoła holenderska".

— A Visscher był kim?

— Norymberczykiem, tak on jak i jego trzej synowie.

— Zagadka...

— A tu są dokumenty z wielkimi pieczęciami — melduje młodzież, nie lubiąca długich postojów.

Rzeczywiście, pergaminy z podpisami królów: Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, Aleksandra, Zygmunta Starego.

— Widzicie, oto dowody, że Kraków był miastem królewskim, stołecznym... A oto księgi i dokumenty miejskie, lista burmistrzów, starszych cechu, rachunki za odbudowę Sukiennic itp.

— Orzeł z koroną! Orzeł z koroną! — przerywa mi wrzask „przyszłości narodu".

Faktycznie. Nad drzwiami wisi tarcza z herbem Krakowa i orłem z dużą, złotą koroną. Tak, to już prawdziwy Kraków.

— Berło burmistrzów, sygnet do pieczętowania — odczytują młodzi napisy na gablotkach i zatrzymują się dopiero przed rogiem gwarków wielickich. Dowiedziawszy się, że to róg bawoli oprawny w srebro, z herbami króla i Bonera, który zawiadywał kopalnią soli, biegną dalej do srebrnego kura, daru Zygmunta Augusta dla bractwa kurkowego. Od oglądania pięknie wycyzelowanych piór kura odrywa nas westchnienie jednej z pań:

—Maka Boska z Króżłowej! Ta z powieści...

— Odwracamy się w stronę cudnej rzeźby, pełnej świeżości i wdzięku. Ktoś czyta rok pochodzenia: 1400.

— Obrazy — mówi czołówka młodzieżowa, narzucająca nam porządek zwiedzania.

— Obrazy i nie byle jakie — odpowiadam z dumą młodemu pokoleniu, otrzaskanemu z malarstwem flamandzkim — oto polskie szkoły malarskie z XV wieku! Nie wiemy, jak się nazywali malarze z tego okresu, bo prawo autorskie jeszcze nie istniało i pracowało się wyłącznie na chwałę Bożą, bez podpisu i bez pretensji do nieśmiertelności. Toteż określamy artystów ówczesnych według ich dzieł, np. „mistrz postaci tronujących", to jest siedzących na jakiejś skrzyni czy tronie, albo „mistrz chórów", malujący chóry świętych. Tryptyk dominikański należy do szkoły „mistrza postaci tronujących", która była pierwszą szkołą malarską w Polsce. Spójrzcie na obraz „Ucieczka do Egiptu", zauważcie krótkie nogi i dużą głowę św. Józefa. Takie właśnie krępe sylwetki są jedną z charakterystycznych cech tej szkoły.

A teraz z drugiej strony obrazu zauważcie gotycki ornament u góry i gotycką architekturę zajmującą środek malowidła. Chrystusa otaczają ciemne postacie, które powiększają wrażenie grozy. Podłoga na tych obrazach, tworzących tryptyk dominikański, jest prawie pionowa; jeszcze jedna cecha charakterystyczna.

Ponadto jeden szczegół, widoczny również na tryptyku augustiańskim, który jest dziełem innego artysty: zgodnie z wymaganiami średniowiecza tło zewnętrznej części ołtarza jest złote, olśniewa wiernych, bije w oczy wspaniałością. Natomiast na wewnętrznej stronie szafy, rzadziej oglądanej przez ludzi, malarz mógł sobie pozwolić na krajobraz i na większą fantazję. Toteż ta strona jest bardziej interesująca. Gdy przyjdzie renesans, gotyckie tło zniknie zupełnie.

A tutaj dzieło innej szkoły malarskiej, tak zwanego „mistrza chórów z roku 1467". Z jego pracowni wyszedł ten piękny obraz z trzema Maryjami i ten tryptyk augustiański. Charakterystyczną cechą tej szkoły są długie twarze z długimi nosami. Naturalnie, nie myślcie, że to są już wszyscy malarze z tej epoki. Tylko mała część ich dzieł zdołała się zachować. Ze znanych malarzy w tym czasie musimy jeszcze wymienić mistrza, którego dziełem jest tryptyk Świętej Trójcy w katedrze na Wawelu. Wywarł on wpływ na „mistrzów chórów".

Tu znów macie dwa śliczne obrazy innego malarza z tego samego czasu: „Hołd Magów" i „Chrystusa w Ogrojcu".

— Malarz Męki Pańskiej z roku 1470 — tłumaczy ktoś napis francuski.

— Oczywiście są tu wpływy obce, zwłaszcza flamandzkie, ale niemniej to polska sztuka. „Hołd Magów" jest naprawdę piękny. Przyjrzyjmy mu się.

Z jakąż tkliwą czułością jeden z trzech króli całuje rączkę Pana Jezusa! Albo „Chrystus w Ogrojcu" tego samego malarza... Cały obraz wygląda jakby był utkany listkami oliwnymi, które stanowią tło.

— I żaby na dole.

— Tak, żaby skaczą po kamieniach.

— A ten Święty?

— Ten obraz jest późniejszy. To jest święty Jan Jałmużnik. Tu już są przebłyski renesansu: rok 1504.

— Wit Stwosz! — z zadowoleniem stwierdza najmłodsza uczestniczka, znalazłszy wreszcie nazwisko, które jej coś mówi.

Wit Stwosz jest reprezentowany przez św. Annę Samotrzecią, z kościoła Bernardynów i figurę rycerza. Przechodzimy obok pięknego krucyfiksu z okresu postwoszowskiego, na którym gwałtowne, burzliwe fałdy tkaniny zdradzają wpływy Wita.

BUDUJMY, ALE CO?

(Dokończenie ze str. 27)

myśli skupialiby się starzy i nowi kandydaci.

Równocześnie, niezależnie od tego, utworzenie kursów seminaryjnych, łączących indywidualny wysiłek naukowy biorących udział z dyskusją zespołową i fachowym kierownictwem, byłoby bardzo cennym początkiem akcji szerszej. Pod warunkiem jednak, żeby nie była to akcja dorywcza, sporadyczna. Chodzi o stałe, obowiązujące studium, a nie o tzw. kursy, po których zostają mgliste wspomnienia i które nie wyczerpują nawet części tematu. Przekleństwem tego rodzaju akcji jest z reguły dyletantyzm i powierzchowność. W sprawach zaś idei oznacza to chaos prowadzący w prostej linii do rozbicia.

W wielu wypadkach tam, gdzie oddalenie czy skład personalny kandydatów nie dawałyby szans na prowadzenie poważnego studium, rolę orientacyjną spełniać by musiało pismo. Z czasem, ośrodek główny, centralny, wypracowawszy sobie odpowiednie materiały, mógłby je wydać w druku i w ten sposób udostępnić innym ośrodkom.

Jeśli prace takiej nowej organizacji oprą się o rzetelne, wysokowartościowe studium katolickie, to zmniejszy się znacznie możliwość tarć na tle personalnym czy politycznym. Tam bowiem, gdzie wartość własną wykazuje się wysiłkiem własnego umysłu i charakteru, a tego właśnie praca seminaryjna wymaga w najwyższym stopniu, tam rzadko znajdzie się miejsce dla przeróżnych „działaczy" polujących na zaszczyty i posady a w zamian dających z siebie jałowe frazesy. Jest to zapewne zadanie niełatwe. Trzeba się bowiem zobowiązać do stałego wysiłku i wysiłek ten wypełniać. Jest to już wówczas — służba. Ale właśnie tylko tak pojęta praca rokuje nadzieje na wartościowe wyniki. Praca łatwa, według starych, znanych wzorów, pełna szumu, „paniekolegowania", „panieprezesowania", prowadzi do nowych zniechęceń i zawodów, nowych zmarnowanych wysiłków, na które nas już naprawdę nie stać.

Roman Jasieńczyk

— A te dwie figury?

— To stare znajome. Oglądałam je w młodości przez zakurzoną szybę na zewnątrz kościoła św. Marka w Krakowie. Ale zaraz... była szyba, czy nie była? Czy tylko kurz?... Zaczynam się wahać nie co do figur, bo i napis francuski potwierdza ich pochodzenie z kościoła św. Marka, ale co do szyby... nie pamiętam już...

— Te figury to już schyłek gotyku. Popatrzcie na zabawne, niesamowite loki św. Jana, na jego chudą, zapadniętą twarz. Trochę śmieszny, prawda?

— O! jaki ładny ornat!

— Ładny? za mało powiedzieć... Wspaniały!

— Kilka miast wystawiło ornaty, ale żaden nie dorównuje ornatowi Kmity — mówi ten, co już obejrzał całą wystawę.

— A wiecie, jak on jest zrobiony? Na materiał nałożono wyrzeźbione w drzewie figurki, na to znowu materiał, na materiale haft i perły. W inwentarzu krakowskiego skarbca napisane jest, że ornat Kmity jest „wszytek złotem haftowany". Musi być ciężki i sztywny. Popatrzcie na te maleńkie kielichy i kadzielnice złote, naszyte na materiał.

— Krzyż z diademów — zapowiada czołówka.

— Krzyż zrobiony na rozkaz Kazimierza Jagiellończyka z diademów noszonych prawdopodobnie przez Bolesława Wstydliwego i Kingę. Robota nadmozańska. Ale przypatrzcie się uważnie: zobaczycie u szczytu zębów korony maleńkie w złocie rzeźbione figurki, przedstawiające sceny polowań i turniejów.

— Ale wielkie księgi z miniaturami!

— Zaraz zobaczymy... Abraham, Samostrzelnik, Graduał Olbrachta... Macie szczęście! Możecie zobaczyć od razu najsławniejszych polskich miniaturzystów! Graduał czyli śpiewnik Olbrachta należy do najstarszej grupy, to jest do szkoły mistrza kodeksu Behema. Abraham i inni miniaturzyści dominikańscy i bernardyńscy są troszkę późniejsi, a największy nasz miniaturzysta, Stanisław z Mogiły Samostrzelnik, którego dzieła są również w Londynie, jest już artystą renesansowym. Ponieważ jest z nich wszystkich najzdolniejszy, więc pewnie dlatego jest reprezentowany przez dwa dzieła ozdobione jego miniaturami: „Poczet biskupów gnieźnieńskich" i Ewangeliarz. Zwróćcie uwagę na złote tło obrazków: to nie farba, tylko listki złota nałożone na pergamin.

— A ta infuła biskupia?

— Infuła biskupa Strzempińskiego? Najstarszy zabytek renesansu w Polsce. Na brzegu infuły są jeszcze gotyckie „ząbki", ale haft renesansowy.

— A to co?

— Kafle z pieca. Ten z królem jest gotycki, a tamten renesansowy. Jak pojedziecie kiedyś do Polski, to zobaczycie takie piece na Wawelu. Ale popatrzcie w górę, na te głowy z sali poselskiej na Wawelu. Oczywiście całkiem inaczej wyglądają w kasetonach pięknego pułapu na Wawelu, a inaczej tutaj. Ta jedna ma otwarte usta, może to ona przemówiła raz do króla Zygmunta Augusta: „Rege Auguste, iudica iuste!"?

— Obrazy Kulmbacha... Niemieckie nazwisko.

— Naturalnie, bo to Niemiec, który malował w Polsce i wywarł wpływ na polskich malarzy. U niego samego jednak jest więcej wpływów włoskich, niż niemieckich. Jest on uczniem Dürera. Popatrzcie na lesisty pejzaż, a zwłaszcza na postać kobiecą: jest pełna świateł, delikatna, a suknia jej układa się w lekkie miękkie fałdy.

— Złamany miecz...

— Miecz Zygmunta Augusta, złamany na pogrzebie, a tutaj powieszony jak gdyby na zakończenie świetnego okresu miasta. Przyjrzyjcie się tej pięknej robocie renesansowej: Herkules dusi hydrę na pochwie miecza.

— A tam berło rektorów uniwersytetu i gablotki z książkami i globusy...

— A bo to inny dział, to sekcja poświęcona akademii krakowskiej.

— Berło jest z 1493, a więc to nie jest pierwsze berło, tylko trzecie. Pierwsze pochodzi z roku 1404. Zobaczmy, co jest w gablotkach.

— Książki, ale bez miniatur.

— Tak, książki profesorów świetnej akademii krakowskiej, (o której francuski Larousse nic nie wie, bo nie umieścił jej w spisie najstarszych uniwersytetów europejskich). Ale tu są nie tylko profesorowie: niektóre książki są tutaj tylko po to, żeby świadczyć o rozwoju drukarstwa i introligatorstwa krakowskiego. Spójrzcie, ilu tu drukarzy: Vietor, Haller, Szwajpolt, Straube (najstarszy drukarz polski), Siebeneycher, Ungler. Prócz tego są książki drukowane po hebrajsku i nawet cyrylicą! Pierwsze książki na świecie w języku cerkiewno-słowiańskim wydrukowano właśnie w Krakowie!

Ale zajmijmy się teraz profesorami. Przecież to okres, w którym akademia krakowska słynie z astrologii i geografii. Oto Maciej z Miechowa, zwany krótko Miechowitą i jego „Chronica Polonorum". Miechowita był astronomem, lekarzem, nawet nadwornym lekarzem królewskim, był historykiem, geografem i kartografem. Ciekawsza jest jego druga książka o „dwóch Sarmacjach", która jest po prostu pierwszym opisem Polski i Rosji i w której Miechowita prostuje błędne twierdzenia Arystotelesa, jakoby rzeki wypływały tylko z gór, i jakoby długość rzeki zależała od wysokości góry. Książka ta doczekała się 20 wydań, z tego aż 14 w XV wieku i w trzech językach. Była przez długi czas głównym źródłem wiedzy o Europie wschodniej i zrobiła takie wrażenie w Europie, że cesarz Maksymilian, wysyłając do Moskwy posła Herbersteina, kazał mu sprawdzić zgodnoć relacji Miechowity twierdzącego, że żadnych gór Ryfejskich ani Hyperborejskich w Moskwie, ani też w Polsce północnej nie ma. Herberstein potwierdził, że książka Miechowity mówi prawdę, bo gór w Moskwie nie ma. Humanista niemiecki Ulrich von Hutten tak się przejął opowiadaniem Herbersteina i rewelacjami Miechowity, że wykrzyknął: „O czasy! O studia! Jak miło żyć!" Nieco później Włoch da Collo pozazdrościł sławy Polakowi; wyjechawszy do Moskwy w poselstwie, wypytywał tam mieszkańców o góry. Oni mu mówili o Uralu i to wystarczyło Włochowi do zakwestionowania książki Polaka. Doszło nawet do spotkania da Collo z Miechowitą i do dyskusji na dworze królewskim w Krakowie u Bony. Miechowita wyjaśnił, że relacje swoje czerpał z zeznań jeńców moskiewskich i gotów jest je odwołać, w razie gdyby okazały się fałszywe. Włoch nie miał szczęścia, bo nie zdążył wydrukować swej książki za życia, wydał ją dopiero jego wnuk, a wówczas nie była już aktualna.*)

Miechowita pisał też prace z dziedziny medycyny.

A oto drugi geograf, astronom, filozof i kartograf zarazem: Jan ze Stobnicy. Jego mapy są najstarsze w Polsce, długi czas uchodziły za oryginalne, nie wiedziano, że Jan ze Stobnicy wzorował się na autorze niemieckim. Zachowały się tylko cztery mapy i wszystkie za granicą. Jan ze Stobnicy rozpowszechnił w Polsce pogląd, że należy mówić „Ameryka", a nie „nowy świat". W swojej książce podaje już dość dokładne wiadomości o stosunkowo niedawnym odkryciu nowej ziemi.

Jan z Głogowa (Schilling), Niemiec zakochany w Krakowie i akademii krakowskiej. Geograf, matematyk, astronom, filozof, znany z opisów konstelacji. On jeden w Europie wykładał geografię posługując się mapą. Była to wprawdzie mapa Ptolomeusza, ale zawsze mapa. Napisał dużo dzieł z różnych dziedzin: gramatyki, astrologii, logiki, filozofii itd. Wielu wybitnych cudzoziemców słuchało jego wykładów i robiło odpisy jego książek; wśród nich znajduje się sławny astronom Konrad Celtis. W wielu bibliotekach europejskich są odpisy jego książek i notatki robione przez jego uczniów: w Paryżu, Monachium, Watykanie, Lipsku, Dreźnie i innych. Jest on autorem pierwszej wiadomości o odkryciu Ameryki, co prawda niedokładnej.

A ta książka, to podręcznik matematyki Jana z Łańcuta, który był wydany kilkanaście razy. I znów astronom: Mikołaj z Szadka. Obok książki z innej dziedziny: „Statut" Łaskiego. „Kronika świata" Bielskiego, która jest pierwszą historią powszechną w języku polskim, kronika Justusa. Ludowika Decjusza, dyplomaty, historyka i sekretarza królewskiego, od którego wzięła nazwę Wola Justowska pod Krakowem.

Przy tych wszystkich profesorach i historykach błyszczy największe nazwisko, najsławniejszego ucznia akademii: Mikołaja Kopernika. Widzicie jego portret na ścianie, jego manuskrypt i sławne dzieło o obrotach ciał niebieskich. Te instrumenty astronomiczne, to dar profesora Marcina Bylicy dla akademii.

— A ta książka? Nie mówiliśmy o niej.

— Theophylactus Simocatta? To wiersze miłosne tłumaczone z greckiego na łacinę przez Mikołaja Kopernika. Widzicie jak szerokie zainteresowania miał Kopernik: był księdzem, astronomem, ekonomistą, lekarzem, inżynierem (budował wodociągi) no i tłumaczem.

— Czy wszystko już widzieliśmy?

— Jeszcze ten globus i ten portret...

— Złoty globus jagielloński, jeden z najstarszych na świecie. Po raz pierwszy zaznaczono na nim Amerykę: „terra America noviter reperta", umieszczając ją niestety za blisko Australii. Portret przedstawia profesora uniwersytetu krakowskiego, Benedykta z Koźmina, humanistę, poetę polsko-łacińskiego.

— No co? Dobrze się Kraków przedstawia i słusznie dostał złoty medal na równi z Londynem.

Jadwiga Pomorska

*) Bolesław Olszewicz: „Geografia polska w okresie Odrodzenia". — Odrodzenie w Polsce. Historia Nauki. T. 2.

LISTY ...

O NARODZIE KATOLICKIM

Mam nadzieję, że Redakcja ŻYCIA pozwoli mi na zabranie głosu w sprawie, która nie była dyskutowana w ŻYCIU, lecz tylko w „Tygodniku Powszechnym". Nie jest rzeczą dla mnie możliwą umieścić list do redakcji na łamach „Tygodnika Powszechnego". A jednak tezy, wypowiadane na łamach „Tygodnika Powszechnego" nieraz zasługują na to, by wystąpić wobec nich polemicznie. I nie ma tu nic do rzeczy okoliczność, że ogół czytelników „Tygodnika" repliki wydrukowanej w ŻYCIU nie będzie miał możności przeczytać. Ogół jej nie przeczyta, ale niektórzy przeczytają. „Tygodnik Powszechny" jest szeroko czytany także i na emigracji i niechże przynajmniej na emigracji będzie szerzej wiadomo, w czym poglądy „Tygodnika" zasługują na krytykę. Egzemplarze ŻYCIA docierają zresztą także i do Kraju, a z pewnością do wielu krajowych redakcji. Myślę, że byłoby rzeczą słuszną, by łamy ŻYCIA były stale otwarte dla polemik na tematy katolickie z tym, co drukowane jest w Kraju i na co na łamach prasy krajowej odpowiedzieć niesposób.

Pragnę odpowiedzieć tu na artykuł ks. Andrzeja Zuberbiera pt. „Na temat katolickości narodu" w „Tygodniku Powszechnym" Nr 28 (494*) z dnia 13 lipca br. Ks. Zuberbier polemizuje z obszernym artykułem ks. F. Mantheya pt. „Naród w Kościele Powszechnym", ogłoszonym w „Ateneum Kapłańskim". Nie mam niestety dostępu do „Ateneum Kapłańskiego", biorę więc udział w dyskusji nie znając jej punktu wyjścia. Niektóre jednak twierdzenia, wypowiedziane przez ks. Zuberbiera, dają mi dostateczną podstawę do zabrania głosu, nawet bez przeczytania wypowiedzi ks. Mantheya.

Zespół ludzi, który założył „Tygodnik Powszechny i który go redaguje i wydaje, odznacza się pewnego rodzaju idiosynkrazją wobec pojęcia narodu i wobec wszystkiego, co się z tym pojęciem łączy. Uważam tę idiosynkrazję za niesłuszną i szkodliwą. Jest ona wyrazem powszechnej w dzisiejszym świecie skłonności do rozbijania społeczeństwa na atomy. Przejawia się ta skłonność w życiu praktycznym w postaci rozpadu rodziny i (wbrew pozorom) rozluźniania węzłów narodowych, zarówno jak na polu myśli teoretycznej w postaci kładzenia punktu ciężkości nie na społeczeństwo, lecz na ludzkie indywiduum.

Ks. Zuberbier pisze: „Trudno jednak niestety zgodzić się z podstawowym twierdzeniem Autora (tj. ks. Mantheya), który uważa, że do Kościoła należymy przez naród katolicki".

Ks. Zuberbier odrzuca także następujące twierdzenie ks. Mantheya: „Kościół nie jest w pierwszym rzędzie złożony z ludzkich indywiduów, lecz między Kościołem jako najwyższą organizacją ludzi wierzących a poszczególnymi ludźmi jako samodzielnymi jednostkami ochrzczonymi stoją, poza rodzinami, twory narodowe". Oraz: „Kościół jest społecznością, w której mają udział najpierw katolickie narody, a potem dopiero poszczególni chrześcijanie".

Ks. Zuberbier tak to ujmuje: „Żaden naród z istoty swej katolicki nie jest. Pozostaje więc czymś zasadniczo, z natury odrębnym od Kościoła i nie może zostać włączony do struktury Kościoła jako właściwa jego część, choć wpływ Kościoła sięga w całe życie narodu".

Wreszcie ks. Zuberbier stwierdza: „A więc nie: Kościół-naród-człowiek, ale: Kościół-człowiek-naród. Nie należenie do Kościoła przez katolicki naród, ale katolickość narodu przez należenie do Kościoła — i to wystarczająco żywe należenie — jego członków".

Muszę stwierdzić, że solidaryzuję się z tym, co zostało zacytowane z artykułu ks. Mantheya, a nie mogę się zgodzić z poglądami ks. Zuberbiera.

Ks. Zuberbier twierdzi, że żaden naród nie może zostać włączony do struktury Kościoła jako jego właściwa część i że żaden naród z istoty swej katolicki nie jest.

To prawda, że żaden naród nie jest — że tak powiem — z predestynacji narodem katolickim. Może nim być, może nim się stać i może nim być przestać. Cytując słowa obecnego Ojca św., ks. Zuberbier kładzie nacisk na Jego słowa, że „żadna kultura nie może w całości uchodzić za specyficznie katolicką. Nawet kultura średniowieczna". Ale nie był w możności pominąć i innych Jego słów: (gdy) „dana społeczność, dany naród, przestrzegając prawa Bożego strzeże się naruszenia granic określonych nauką i moralnością Kościoła, wówczas może słusznie nazywać się chrześcijańską i katolicką". Nawet w najbardziej katolickim narodzie mogą być jednostki, prądy i generacje, przeciwstawiające się Kościołowi i wierze. Ale to samo może się zdarzyć i w rodzinie. Nawet w najbardziej katolickim środowisku rodzinnym może się zdarzyć jednostka zbuntowana; ale to jeszcze nie znaczy, by trzeba było danej rodzinie odmówić prawa do miana rodziny katolickiej.

Między rodziną i narodem istnieje ogromne podobieństwo. Czyżby i do rodziny chciał ks. Zuberbier zastosować swe słowa, które poświęcił narodowi: że „pozostaje ona czymś zasadniczo, z natury odrębnym od Kościoła i nie może zostać włączona do struktury Kościoła jako właściwa jego część?"

Wszyscy wiemy, że istnieje pojęcie rodziny katolickiej. Istotą tego pojęcia jest nie to, że wszyscy członkowie tej rodziny, lub nawet ich większość, są katolikami, ale to, że w tej rodzinie panuje specyficzny duch i styl życia, właściwy rodzinie katolickiej... Pojęcie katolickiej rodziny to jest coś więcej niż tylko suma jej członków, katolików. To jest zbiorowość o specyficznym duchu, wewnętrznym życiu zbiorowym, wewnętrznym stylu i atmosferze. W katolickiej rodzinie ludzie razem się modlą, wspólnie się o siebie troszczą, w szczególny sposób się wzajemnie kochają, w szczególny sposób się wzajemnie znają, mają w pewnym sensie wspólne poglądy, pojęcia i dążenia. Tworzą — zbiorowość.

Tak samo i naród nie jest tylko sumą jednostek, ale zbiorowością. I rodzina i naród mają w życiu Kościoła szczególniejszą funkcję i rolę do spełnienia. Dziecko wzrasta na katolika w rodzinie i dzięki rodzinie... To samo dotyczy i narodu. Gdyby było inaczej, ludzie stawaliby się jednakowo łatwo katolikami bez względu na to, w jakim narodzie się narodzili... Naród, ze swoim duchem i atmosferą, ma widać jakąś szczególniejszą rolę do spełnienia w życiu Kościoła: tak jak rodzina, wychowuje on katolików, synów tego Kościoła.

Chrystus Pan nie powiedział do Apostołów: idźcie, nauczajcie wszystkich ludzi, lecz: idźcie, nauczajcie wszystkie narody. Pismo Święte ciągle mówi o narodzie; o narodzie żydowskim i o innych narodach. Jeśli św. Paweł mówi, że Żydzi się kiedyś nawrócą, to przecież nie mówi o jednostkach, ale o zbiorowości: jednostki, współczesne mu, dawno pomarły, trwa tylko zbiorowość, żydowski naród. To o nawróceniu narodu, a nie jednostek, wielki Apostoł mówi. Jest rzeczą oczywistą, że nawrócenie narodów jako narodów jest dla Kościoła celem odrębnym od sprawy nawrócenia i zbawienia jednostek. I Kościół zgoła tego celu nie uważa za błahy. Przeciwnie, nawrócenie narodów jest główną drogą, którą się Kościół posługuje w dziele nawracania jednostek. Tam się pojawiają masowe nawrócenia jednostek, gdzie wyrosła dostatecznie silna, samodzielna społeczność katolicka, uczestnicząca w życiu danego narodu.

Oczywiście, każda jednostka jest bytem odrębnym i samodzielnie, na własną odpowiedzialność troszczy się — lub zaniedbuje troszczyć się — o swoje zbawienie. Nie wyręczy jej w tym ani naród, ani rodzina, ani parafia, ani diecezja, ani zgromadzenie zakonne, ani nikt inny. W dążeniu do zbawienia, jednostka jest samotna, stoi sam na sam z Bogiem. Ale tu na ziemi, jednostka jest cząstką społeczeństwa. Należy do niego, jest z nim mnóstwem węzłów związana i ma wobec niego obowiązki. „Albowiem jak w jednym ciele wiele członków mamy, a wszystkie członki nie tę samą czynność mają, tak wielu nas jednym ciałem jesteśmy w Chrystusie, a każdy z osobna jeden drugiego członkami" — mówi św. Paweł w liście do Rzymian (XII, 4-5). Te członki, to nie tylko pojedyncze jednostki, ale całe gałęzie Kościoła: narody i rodziny, a także diecezje i parafie, a także zakony, zgromadzenia i bractwa.

Kościół jest społecznością widzialną, zarówno jak niewidzialną. To Wycliff i Hus sprzeciwiali się pojęciu, że Kościół jest widzialny, to Luter i Kalwin ograniczali Kościół do zbiorowości świętych lub predestynowanych. Do Kościoła należą zarówno święci, jak grzesznicy i należą nie tylko w niebie, lecz także tu, na ziemi. A tu na ziemi widzialny Kościół, nie tracąc nic ze swoich nadprzyrodzonych właściwości mistycznego Ciała Chrystusa, jest faktem społecznym. Jest zbiorowością, złączoną całym mnóstwem węzłów społecznych. Negowanie tego nie jest zgodne ani z duchem i tradycjami Kościoła, ani — śmiem twierdzić — ze zrozumieniem jego doktryny.

Jędrzej Giertych

ZGON. PROF. TAUBENSCHLAGA

Do redakcji dotarł (podpisany) list, z którego zamieszczamy wyjątki:

„Wiecie na pewno o tragedii prof. Taubenschlaga. Gazety podały nieprawdę. Profesor nie popełnił samobójstwa — winę ponosi szpital... Profesor był ciężko chory i miał jaskrę na oczach, lecz chodził i czuł się dobrze, w dniu krytycznym wyszedł ze swego pokoju rano i... wracając pomylił widocznie drzwi; zamiast wejść do pokoju (był drugi dzień w szpitalu) otworzył drzwi na nie zabezpieczony balkon; będąc ślepym nie mógł zobaczyć obalonej barierki (był remont) i spadł z pierwszego piętra na beton. Pękniecie podstawy czaszki było przyczyną zgonu.

Szpital chcąc ratować reputacje podał wiadomość o samobójstwie. Zrobiło się straszne poruszenie... Profesor znany był ze swej religijności... Toteż oburzenie na szpital ogromne, nikt nie uwierzył w możliwość samobójstwa. Śledztwo w toku... Zmuszono prasę, aby odwołała pierwszą notatkę. Tak wygląda prawda o prof. Taubenschlagu..."

APEL DO SOWIETOLOGÓW

Niech mi wolno będzie prosić o gościnę dla informacji, która, być może, zainteresuje niektórych Czytelników...

Informacja jest następująca: Rząd Kantonu Fryburskiego (Szwajcaria) powołał do życia przy Wydziale Humanistycznym tutejszego Uniwersytetu Instytut Europy Wschodniej (Ost-Europa Institut) i mianował mnie jego kierownikiem. Członkami Rady Instytutu są ze mną profesorowie C. Regamey i Fr. Brenn. Instytut ma obecnie dwie sekcje: ideologii komunistycznej i spraw kościelnych krajów tzw. demokracji ludowej. Szereg prac naukowych jest w toku w obu sekcjach — w najbliższym czasie ukażą się dwa zeszyty bibliografii filozofii sowieckiej, m. in. spis treści „Woprosow Fiłosofii" za lata 1947-1956). W Instytucie pracuje obecnie 8 osób.

W przekonaniu o pożyteczności współpracy wszystkich zainteresowanych poważnymi studiami w jego dziedzinie, Instytut będzie chętnie wymieniał informacje i publikacje — będę więc wdzięczny polskim i obcym sowietologom za łaskawe podanie swoich adresów do Ost-Europa Institut, 1A pl. de l'Hopital, Fribourg, Suisse.

Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że Instytut stawia sobie wyłącznie cele naukowe i zwalcza tylko niewiedzę...

J. M. Bocheński, O. P.

GENETYKA ZACHODNIA A MICZURINIZM

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł ks. Zaniewskiego „O twórczym darwinizmie sowieckim" — ŻYCIE lipiec 58. O ile artykuł jest bardzo ciekawy i w zasadzie słuszny, to odniosłem jednak wrażenie, że autor niewystarczająco jasno podał różnice między zachodnią genetyką a miczurinizmem. Opisane różnice są raczej datowane sprzed wojny. Uległy one zmniejszeniu i to trzeba przyznać, że na skutek ustępstw ze strony nauki zachodniej. Oczywiście nie nastąpiło to dzięki wpływowi Łysjenki, bo jego teorie naukowe z naukowego punktu widzenia się nie liczą — ale na skutek postępu genetyki zachodniej

Obecnie przyznaje się, że ewolucja biologiczna następuje na skutek działania otoczenia, ale tylko drogą naturalnej selekcji wśród istniejących osobników. Różnice wśród osobników następują bądź drogą krzyżowania przez rozmnażanie płciowe, bądź przez mutacje. Mutacje są wynikiem działania pewnych czynników, jak promienie ultrafiołkowe czy kosmiczne, niektóre chemikalia, jak kolchicyna, gaz musztardowy i — przypuszczalnie — wiele innych czynników zewnętrznych. A zatem mutacje następują na skutek otoczenia. Warunki otoczenia, kształtując organizm, powodują pewne fizyczno-chemiczne medium, w którym chromosomy mogą ulec zmianom — mutacjom — które są dziedziczne. A więc nie jesteśmy tak dalecy od miczurinizmu.

Różnica jednak pozostaje i jest bardzo istotna. Mutacje, rozumuje genetyka zachodnia, są to zaburzenia w chromosomach, czy genach. Zaburzenia te, małe lub większe, najczęściej są letalne (powodujące śmierć osobnika), ale czasami okazują się nieszkodliwe dla życia, i drogą naturalnej selekcji, przez kilka pokoleń, są przez naturę zachowane, albo wyeliminowane. Innymi słowy, mutacja jest wynikiem przypadku i dopiero życie wykazuje jej wartość. Natomiast według miczurinizmu otoczenie powoduje zmiany, które są celowe i zmierzają do dostosowania osobnika do warunków zewnętrznych — teoria pasująca do marksizmu, ale bez naukowych podstaw. Trzeba jednak przyznać, że właściwie rosyjscy naukowcy w nią nie wierzą, i choć do dziś każda rozprawa o genetyce zaczyna się od pochwały miczurinizmu, to jednak czytając dalej szybko odczuwa się, że autor skończył z czołobitnocią i przechodzi do opisów eksperymentów, niejednokrotnie o dużej wartości naukowej. Na ogół rosyjscy biolodzy znają literaturę zachodnią, podczas gdy na zachodzie rosyjskich prac prawie że się nie czyta — a szkoda.

Na zakończenie pragnę dodać kilka drobnych uwag.

Chromosomy są nie tylko w komórkach rozrodczych, ale i w każdej komórce ciała. Wszędzie są o identycznym składzie i mogą być dziedziczone, bądź drogą wegetatywną, bądź seksualnie, jeżeli z komórek somatycznych wyrosną organa płciowe, np. jeśli kwiat wyrośnie z kawałka łodyżki wsadzonej do ziemi. A zatem siedliskiem cech dziedzicznych jest każda komórka ciała, zawierająca jądro.

„Genotyp" i „linia czysta" — to nie jest jedno i to samo. Genotyp to jest dany skład cech dziedzicznych, który pod wpływem warunków zewnętrznych w czasie rozwoju daje fenotyp. „Linia czysta" lub „homozygota" to jest taki genotyp, w którym cechy na obu seriach chromosomów w diploidalnej komórce są identyczne. Następuje ona na skutek samozapłodnienia przez wiele pokoleń np. u grochu.

Eksperymenty Lepieszyńskiej produkujące komórki żywe z ciał martwych, chociaż przez naukę nie potwierdzone, nawet jeśliby były autentyczne, to i tak nie są dowodem na nieistnienie Boga. Nie ma podstaw do przypuszczenia, że konieczna jest ponadnaturalna interwencja Boża do ożywienia materii. Doczekaliśmy się fotosyntezy w probówce, skrystalizowania i z powrotem ożywienia wirusów, doczekamy się też pewno i ożywienia syntetycznie zorganizowanej proteiny. Jeśli przyjmiemy, że Bóg dał wszystkiemu początek, i czuwa nad ewolucją materii, to ponadnaturalna interwencja (z wyjątkiem tchnienia duszy w człowieka) podczas całego rozwoju świata martwego i żywego nie jest konieczna i wykazanie jej braku w którymś stadium rozwoju bynajmniej nie podważa naszej wiary.

Maciej Giertych

DLA WSZYSTKICH...?

...Jesteśmy oddzieleni od masy narodu. Ta część narodu, której ŻYCIE jest dostępne, posiada za małe grono czytelników, którym obecna forma ŻYCIA odpowiada i w dodatku również w tym gronie jest jeszcze pewna część, którą może, mimo, chęci, nie stać na stosunkowo wysoki wydatek. Wydaje mi się więc, że powoli liczba czytelników, o ile nie nastąpi zmiana, będzie malała a pismo będzie drożało, by podołać, a w końcu, co byłoby nieszczęściem, przestanie istnieć... Potrzebne jest tutaj pismo... dla wszystkich... Niekoniecznie charakter całego pisma musiałby być zmieniony, ale proszę dla każdego coś. Trzydzieści stron podzielić można na trzy części, jedną trzecią z pierwszej trzeciej (części) dla młodszych intelektualistów, drugą trzecią dla przeciętnych, którzy będą rzeczywistą podporą pisma, a resztę dla młodzieży w ogóle...

A. B.

◆

...ŻYCIE nie jest już tym pismem, co było dwa lub pięć la temu wstecz. W dzisiejszym ŻYCIU są artykuły do czytania za poważne i męczące. To pismo jest dobre dla naukowców, literatów, profesorów, elity... Pismo musi się zbliżyć nie tylko do mądrych, wykształconych ludzi, ale i do maluczkich... ŻYCIE musi znaleźć inną drogę do naszych umysłów, musi spełniać takie warunki, aby było rozumiane przez wszystkich, tak małych ,jak i wielkich. Może przyjdzie czas, że ŻYCIE zmieni swoje oblicze... Proszę, aby ŻYCIE było trochę lżejsze, w zrozumieniu „pisma dla wszystkich".

C. Izwolski

SUROWE „ŻYCIE"

„...Muszę się przyznać, że ŻYCIA prawie nie czytam. Pismo to wydaje mi się bardzo poważne i mało zachęcające, a tak przecież nie jest, bo gdy się zacznie czytać, to niektóre artykuły człowieka pochłaniają. Tak było też wczoraj ze mną. Numer (czerwcowy), choć w czasie już nieaktualny, przeczytałem prawie od deski do deski. Nasunęło mi się dużo refleksji... coś z tego czytania we mnie zostało. Widzę jasno, z jakimi trudnościami boryka się pismo... Nasuwa mi się myśl, czy nie powinno być w piśmie więcej ilustracji, które by człowieka pociągały do czytania. Pismo jest przeznaczone dla inteligencji, jest jej jednak niewiele, tak mi się wydaje... Niektóre rzeczy wydają się za trudne i poważne, ...a jednak mnie pociągają... Takich ludzi jak ja jest więcej, których drażni płytkie pismo, a za mądrzejszym nie mogą nadążyć. W domu naszym jest szereg pism katolickich... Wolę chyba jednak to surowe ŻYCIE, do którego tak trudno mi się zabrać..."

B. W. (Francja)

SPRAWDZIANY POCZYTNOŚCI

„...W dziale „Listy i uwagi" spotykają się ze sobą przeważnie autorzy artykułów i kruszą między sobą... pióra... Osobiście — jako czytelnik — wolałbym widzieć w dziale „Listy i uwagi" czytelników, których reakcje (nie tylko w postaci przyklaskiwania, ale w pomruku niezadowolenia) są najlepszym sprawdzianem poczytności pisma i niekiedy mogą posłużyć pomocą...

Bardzo interesujący artykuł ks. Zaniewskiego w swej jednej czwartej części podaje źródła... Esej im mniej operuje odsyłaczami tym jest klarowniejszy i bardziej strawny.

Reportaż o pawilonie Kościoła na wystawie w Brukseli... sprawia wrażenie sprawozdania o sprawozdaniu... Wiedząc skądinąd, że w pawilonie są rzeczy ściśle polskie można wywnioskować, że J. Jacyna w Brukseli w ogóle nie był... Proszę porównać reportaż napisany przez J. Pomorską...

Wspomnienia... byłyby ciekawsze, gdyby zamiast suchego panegiryku dać konkretny fragment z życia zmarłego oddający rys charakteru...

Czytając recenzje książek w ŻYCIU odczuwa się, że mają one nastawienie zareklamowania dzieła i dopomożenia mu do sprzedaży... Nie należy ŻYCIA stawiać na poziomie katalogu księgarskiego. Opracowanie „Bez demagogii i paniki" ...nie umywa się do recenzji krytycznej na poziomie obecnego ŻYCIA...

A. Korczak

PISMA — LUDZIE — ZDARZENIA

„**Czyn Katolicki**" (sierpień 1958) przynosi rozważania problemu Łaski zgodnie z założeniami „polskiego roku Łaski".

Dział „Rok kościelny w polskim domu" zawiera m. in. „Rozmowy z dziećmi", dobrze ujęte wskazówki kształcenia i wychowania dziecka, wiążące historię polską z rokiem kościelnym.

W dalszym ciągu sylwet polskich Świętych — życiorys błog. Czesława.

W „**Kulturze**" (lipiec-sierpień), Jerzy Zdziechowski porusza sprawę doniosłą w artykule „Ratować skarby wawelskie". Artykuł jest pod wieloma względami rewelacyjny. Mówi o „poniewieraniu się" i „niszczeniu" zbiorów. Powołuje się na „zaniepokojenie Polonii kanadyjskiej stanem konserwacji i brakiem zabezpieczenia formalno-prawnego skarbów... oraz dalszymi ich losami..." Cytuje raport kustosza Polkowskiego, który już 10 lat temu ostrzegał przed skutkami systemu przechowywania...

„...U progu obchodu tysiąclecia państwa, Polska, ogołocona wojnami z tylu dóbr i zbiorów kulturalnych" ma być skazana na bezsilne przyglądanie się zaprzepaszczeniu swych historycznych zbiorów a młode wchodzące w życie pokolenia mają być pozbawione możności zaznajamiania się z dorobkiem cywilizacyjnym narodu. Upór władz kanadyjskich, opierający się na stanowisku części tylko emigracji stanowiącej na pewno mniejszość, stoi dziś na przeszkodzie powrotowi do Kraju tego narodowego mienia. Głos Polaków w Kraju i na całym świecie nie powinien dopuścić do zatracenia skarbów wawelskich..."

Nie ulega wątpliwości, że opinia krajowa życzy sobie powrotu zbiorów na Wawel. Łatwiej było zapewne doprowadzić do rozstrzygnięć zaraz po „październiku", ale jeżeli skarby niszczeją a ich losy może komplikować stanowisko czynników obcych, to z rozstrzygnięciem tej sprawy zwlekać nie należy.

„**Merkuriusz**" (sierpień-lipiec 1958) ogłasza pierwsze odpowiedzi na ankietę, która zwraca się o ,podanie w jakim stopniu kraj zamieszkania wpłynął na cechy charakteru, światopoglądu, stosunek do religii, wybór zawodu i zainteresowania". Odpowiedzi ciekawe i bezpośrednie. Jako przykład niech posłużą rozważania Andrzeja Malkiewicza. „Nam — pisze — naocznym świadkom komunistycznej rzeczywistości, zachodni mędrkowie nie chcieli wierzyć, ponieważ burzyliśmy ich aluzje. Rzekomo empiryczna, obiektywna mentalność prowadziła do konkluzji jaskrawo sprzecznych z doświadczeniem. Student-emigrant musiał dojść do wniosku, że metoda, którą zawodziła w sferze osobiście mu znanej, mogła być fałszywa i na innych polach. Był jakiś związek między odrzucaniem niewygodnych faktów świata współczesnego a odrzucaniem świadectwa tych, „którzy z Nim jedli i pili potem, gdy wstał od umarłych". Z kartezjanizmu pozostawał tylko egocentryzm, bez zaufania do spekulatywnego rozumu; wszystko zaczynało się i kończyło na doświadczeniu zmysłowym, a doświadczenia te dobierali sobie mędrcy według własnych pożądliwości. Rzekomy obiektywizm, oskarżający ludzi wierzących dziecięcą wiarą o... pychę, miał oczy krótkowidza i gładkie policzki zadowolonego z siebie egoisty. To odkrycie pomogło uniknąć wszelkiego kompleksu niższości wobec sceptyków jako bardziej „postępowych". Przeciwnie, płaski i prozaiczny w swych poglądach etycznych, zagłuszający w sobie podstawowe pytania co do sensu świata, niewrażliwy na piękno rzeczy duchowych (np. cnoty czystości), ten typ intelektualisty, mimo całej swej analistycznej zręczności, ukazywał się jako mocno ograniczony, a nawet schyłkowy..."

„...pobyt w Wielkiej Brytanii nie zmienił w tym wypadku zasadniczego stosunku do religii. Raczej zmusił do jej apologetycznego pogłębienia i wzmógł wdzięczność do Kościoła za bezkompromisową naukę, jaśniejącą ponad zalewem dowolnych spekulacji..."

Dalej następuje wnikliwa analiza korzyści jakie przybysz polski mógł osiągnąć obserwując: „dar układania stosunków między ludźmi", „obiektywizm w analizowaniu własnych i cudzych pojęć", „empiryzm w sprawach ludzkich", „dążenie do konkretów", „zdrowy rozsądek, praworządność i zachowanie ciągłości tradycji", „przedkładanie fachowości nad improwizację, dojrzałość społeczeństwa rządzącego się prawem, samodyscypliną i poczuciem sprawiedliwości..."

Malkiewicz konkluduje: „...Odrębność i własna kultura", gdy nie są zagrożone, „nie muszą być stale nastrojone na nutę heroiczną. Naród jest czymś potężnym, ale nie bezwzględnym. W ostatecznej instancji człowiek jest ważniejszy — stanowisko najzupełniej zgodne z chrześcijaństwem..."

„...'Podróże kształcą' — emigracja też. Bezpośrednie poznanie samej W. Brytanii i szersze otwarcie oczu na resztę świata dzięki jej pośrednictwu, zmodyfikowały dość znacznie nacjonalizm polskiego emigranta z roku 1945-go. Nie doprowadziły jednak ani do zerwania z polskością ani do kompleksu niższości. Intelektualista, nie uznający bogactwa za ostateczne kryterium, mógł uważać W. Brytanię za lekcję poglądową zarówno dobrych jak i złych skutków względnego dobrobytu. W dziedzinie duchowej i obyczajowej porównanie często wypadało na korzyść kultury polskiej; w dziedzinie politycznej prawie nigdy. Nowej matki wychodźca nie znajdywał i nie szukał; z biegiem czasu zaczynał widzieć gościnną wyspę jako mądrą i solidną ciotkę, której się należy szacunek."

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734